

tytuł: "Chłopiec z pociągu"
autor: Marian Brandys
Text (c) Copyright by Marian Brandys,
Warszawa 1957

Illustrations (c) Copyright by Bohdan Butenko,
Warszawa 1957

SPIS TREŚCI

Chłopiec z pociągu... ..	5
Navigare necesse est... ..	11
Eksperyment naukowy... ..	35
Śmierć don Juana... ..	56
Wiewiórczak... ..	72
Honorowy łobuz... ..	105
W Nałęczowie... , . . , . . .	131

Chłopiec z pociągu

Działo się to tuż przed wybuchem powstania warszawskiego, w czerwcu czy lipcu 1944 roku -dokładnie nie pamiętam. Dzień był duszny, chmurny. Człowiek przesądny mógłby powiedzieć, że w powietrzu od rana czaiło się coś niedobrego.

Żandarmi przychwycili nasz pociąg na małej stacji koło Częstochowy, a raczej jeszcze przed wjazdem na stację - w gołym polu pod sygnałem. Było ich dwunastu - jak w „Powrocie taty” - pod dowództwem czarnego SS-mana z psem. Zgodnie ze swym zwyczajem, zaszli nas od dwóch stron i sprawdzali przedział po przedziale. Pasażerowie podawali dokumenty do kontroli, starając się wytrzymać bez drżenia spojrzenie SS-mana. Bali się wszyscy. W owych czasach nie było niewinnych. Po ostatnich kłę-

skach na froncie hitlerowcy wzmogli czujność i każda przypadkowa obława mogła się skończyć katastrofą. Ta właśnie skończyła się katastrofą.

Kiedy dwie partie kontrolujących zbliżały się już ku sobie, w końcu korytarza wybuchnął wrzask. To jeden z żandarmów pozostawionych przy drzwiach wszedł do ubikacji i znalazł tam ukryty za sedesem automat.

Wiadomo, czym groziło znalezienie w pociągu ukrytej broni. Hitlerowców ogarnął szal. Wrzeszcząc i tłukąc na oślep kolbami, wyrzucali nas z pociągu. Po-

magał im w tym spuszczonej z kańczuga pies - czarna rozżarta bestia, kasająca milczkiem i nienawistnie.

Po opróżnieniu wagonu ustawiono nas w dwusze-regu przed pociągiem. Naprzeciw, w odległości kilkunastu kroków, stanął SS-man z psem. Słowa oficera przekładał na polski żandarm Słazak. Biły w nas jak kamienie: "Ten od automatu ma się zaraz przyznać. Inaczej, za pięć minut co piąty z całej bandy będzie rozstrzelany".

SS-man wyciągnął spokojnie rękę z zegarkiem i obwiodł nas powoli spojrzeniem.

Wierzcie, że" było to najstraszniejsze pięć minut, jakie przeżyłem kiedykolwiek.

Do automatu nie przyznał się nikt.

Na krótkie warknięcie SS-mana dopadli nas żandarmi i uderzeniami luf zaczęli odliczać co piątego.

Starzec z siwą brodą, którego odliczono jako pierwszego, ze strachu osłabł. Inni przyjmowali wyrok w

milczącym odrętwieniu. Jakiś młody, szczupły człowiek w binoklach zaczął głośno, rozpaczliwie płakać.

Wtedy właśnie wystąpił ten chłopiec.

Był to jeszcze zupełnie młody szpic. Miał piętnaście, a może szesnaście lat, ale nie wyglądał nawet na tyle.

Dziś nie potrafiłbym już opisać dokładnie jego wyglądu. Pamiętam tylko, że w jego drobnej, dziecinnej sylwetce było coś ujmującego - coś, co cechuje zazwyczaj chłopców bardzo nerwowych i bardzo nieśmiałych. A przecież zdobył się na śmiałość, kiedy my - dorośli, silni mężczyźni drżeliśmy ze strachu.

Ludzie tak byli zajęci procedurą odliczania, że początkowo nie wszyscy dostrzegli jego wystąpienie. Dopiero kiedy podszedł do oficera, zapadła zadyszana cisza. W tej ciszy chłopiec powiedział głośno i wyraźnie:

- Automat jest mój. Ja go wiozłem.

Żandarmi natychmiast skoczyli ku chłopcu i na chwilę; zakryli go przed naszym wzrokiem. Dostrzegłem tylko, że SS-man pochylił się i odpiął kańczug od obroży psa. Nastąpiły dwa straszne ciosy. Chło-

piec upadł, lecz zaraz szybko się podniósł. Chwiał się na nogach. Rękami zasłaniał twarz. Potem zabrali

się do niego żandarmi.

O Boże, jak bardzo kochaliśmy wtedy tego chłopca! Jego postępek przywrócił nam całą utraconą odwagę. Byliśmy znowu mężczyznami. Jestem przekonany, że w owej chwili każdy bez wahania oddałby za niego życie.

Kiedy myśleliśmy, że nic już nie uchroni go od zguby - zelektryzował nas nagle przeraźliwy okrzyk:

"- Herr Sturmfuhrer! Herr Sturmfuhrer!

Od końca pociągu biegła w naszą stronę grupa podnieconych ludzi. Trzech konduktorów wlokło za sobą opierającego się Bahnschutza. Bahnschutz był w rozpiętym mundurze, zupełnie pijany. Wyrwał się, wierzgał i bełkotał coś nieprzytomnie,

W chwilę potem drżący i blady jak śmierć starszy konduktor salutując składał po niemiecku meldunek oficerowi.

Nie mogliśmy zrozumieć słów, ale od razu domyślił się wszystkiego. To ten Bahnschutz - to pfjane zwierzę - zostawił swój automat w ustępie polskiego wagonu. Schronił się tam zapewne w obawie przed partyzantami, a później - spiwszy się zupełnie -

wrócił spać do niemieckiej części pociągu. Konduktorzy okazali się porządnymi, odważnymi ludźmi. Wiadomo zresztą, jak obsługa pociągów nienawidziła panoszących się Bahnschutzów.

Niemcy zupełnie zbaranieli. Dla nas to był ratunek, ale oni tę kaszę musieli jakoś zjeść. SS-man przez chwilę ważył w sobie decyzję. Potem - krzywiąc twarz w uśmiechu - podszedł do chłopca, wyprężył się na baczność, zasalutował i wyciągnął do niego rękę.

Ale rycerski gest zawisł w powietrzu. Chłopiec odwrócił się od hitlerowca i z twarzą zalaną krwią, macając przed sobą jak ślepiec, powlókł się w stronę pociągu.

Szczekliwy rozkaz zagnał nas z powrotem do wagonu. Tym razem nie trzeba było nam pomagać ani pędzać.

Dopiero kiedy pociąg ruszył spod fatalnego sygnału, zajęliśmy się chłopcem. Leżał na ławce z zamkniętymi oczami, a wyglądał tak, że strach było na niego patrzeć.

Kiedy kobiety starły mu krew z twarzy chustkami zmoczonymi w occie, dorwaliśmy się do niego my i poczęliśmy wołać jeden przez drugiego:

- Chłopcze, dlaczegoś to uczynił? Po coś się przyznawał? Przecież nie miałeś z tym nic wspólnego!

Wtedy on spojrział na nas i, z trudem poruszając rozciętymi wargami, rzekł;

- Ja mogłem, bo nie należę do żadnej organizacji. Nikogo bym nie wsypał.

I jakby zwalając z siebie wstyd, co gniótł go od dawna, dodał ciszej:

-Nie jestem w organizacji, bo szkopy rozwalili mi dwóch braci. Musiałem przysiąc mamie, że nie będę się narażał.

NAYIGARE NECESSE EST...

Pod koniec października w grabkowskim Liceum Ogólnokształcącym pojawił się nowy nauczyciel łaciny. Był to wysoki, kościsty starzec o wielkiej, żółtawo połyskującej łysinie i wydatnym nosie, na którym chwiały się okulary w drucianej oprawie, pozbawionej bocznych ramiączek. Z całej powierzchowności nauczyciela przebijało zmęczenie i zaniedbanie. Nie był to żaden z tych błogosławionych szczęśliwców, którzy wygładem swym na pierwszy rzut oka wzbudzała odruchowo sympatię otoczenia.

Inauguracyjna lekcja łaciny odbyła się w klasie ósmej, słynącej na całą szkołę z dobrych wyników sportowych i ze skandgJ<fflT|"gp sprawowania. Ósma-

/IW^A

cy powitali nowego nauczyciela wroga ciszą i ironicznymi spojrzeniami.

Po odwołaniu z Grabkowa poprzedniej nauczycielki łaciny, panny Szadkowskiej, grabkowscy „łacinicy" korzystali przez miesiąc z błogiego „fajrąntu". Październik tego roku był wyjątkowo piękny. Mieniący się

wszystkimi barwami jesieni świat grzał się w słońcu jak wielki, rudy kocur. Sucha, sprężysta ziemia zapraszała do gry w piłkę.

W czasie trzech wolnych lekcji w tygodniu rozwrzeszczana banda łacinników szalała na szkolnym boisku, mobilizując przeciwko sobie ponurą zawiść wszystkich pozostałych kolegów. Teraz z winy tego kościanego dziadka, którego licho przyniosło nie wiadomo skąd, „wdechowe” czasy miały się skończyć. Ósmacy nie kryli urazy do przybysza. Jeżeli już koniecznie musiał uszczęśliwić swoją osobą grabkowskie liceum, to mógł z tym przynajmniej poczekać do połowy listopada, kiedy zaczną się pierwsze jesienne pluchy.

Ale nowego łacinnika zdawał się zupełnie nie obchodzić nastrój ósmej klasy. Szybkim, stanowczym krokiem przebył krótką przestrzeń od drzwi do katedry, obejrzał podejrzliwie profesorski fotel i lekceważącym ruchem strącił z niego podłożoną przez uczniów piaseczkę. Od razu można było poznać, że jest to stary praktyk, znający się na uczniowskich kawałach.

Po odczytaniu listy obecności nauczyciel zamknął dziennik i nie wdając się w żadne wstępne pogawęd-

' ' 12

ki z uczniami podszedł do tablicy. Wytarł ją starannie, po czym włożył do ręki kredę i zaczął powoli pisać, pięknie kaligrafując każdą z liter.

Uczniowie początkowo śledzili z zainteresowaniem gwałtowne ruchy wystających łopatek nauczyciela, lecz wkrótce przestało ich to bawić. Ktoś z dalszych ławek wystrzelił papierową strzałę. Ku ogólnej ucieście trafiła w sam środek profesorskich pleców. Ponieważ nie wywołało to żadnej reakcji, za pierwszą strzałą śmignęły następne. Potem trzasnął w katedrę z rozmachem ciśnięty pantofel gimnastyczny. Wrzawa w klasie zaczęła rosnąć jak piana na kipiącym mleku. Kiedy w pewnej chwili nauczyciel zaniósł się suchym astmatycznym kaszlem, ze wszystkich stron odpowiedziało mu zuchwałe echo.

- Khe-khe-khe! - kastali
rozbawieni ósmacy.- Khe-
-khe-khe! Khe-khe-khe!

13

Nowy łacinnik - jakby nie słysząc, co dzieje się za jego plecami - spokojnie pisa! dalej. Dopiero po postawieniu ostatniej kropki, odwrócił się do klasy i krzyknął ostro:

- Silentium! *

Jak świat światem na grabkowskich ósmaków nikt jeszcze nie krzyczał po łacinie. Było to tak nieoczekiwane i zdumiewające, że klasa z wrażenia zamarła. Nauczyciel! spokojnie otarł ręce z kredy i jeszcze raz przyjrzał się zdaniom wykaligrafowanym na tablicy, po czym odczytał je głośno, akcentując wyraźnie każde słowo:

- Vivere non est necesse. Navigare necesse est.
Obiegł wzrokiem klasę i z nieomylnym wyczuciem wskazał palcem na najlepszego ucznia, Liskowicza.

- Tłumacz ty, jeżeli potrafisz.

Klasa ósma dopiero zaczynała naukę faciny. Ale dla Liskowicza nie było rzeczy trudnych. Podniósł się z godnością, raz tylko odchrząknął i bez zająknięcia przełożył łaciński tekst;

- Vivere non est necesse znaczy: „żyć nie jest konieczne”. Navigare necesse est znaczy: „żeglować jest konieczne”. Oczywiście w tłumaczeniu dosłownym.

-- Bardzo dobrze - skinął głową nauczyciel. -
Słowa te wypowiedział niegdyś wielki Pompejusz. Słyszeliście o Pompejuszu?

* Silentium! (tac.) -Spokój!

14

-- Nie słyszeliśmy, panie psorze! - rażnym chórem odkrzyknęła klasa.

Łacinnik skrzywił ślą, jakby mu nadepnęto na od-cisk.

- No, oczywiście, postacie historyczne was nie interesują. Co innego, gdyby chodziło o jakiegoś sportowca. Pompejusz był wielkim wodzem rzymskim, ry-

walem Juliusza Cezara. Pewnego razu flota Pompeju-,
sza otrzymała rozkaz dowiezienia zboża do wygłodzo-
nego Rzymu. Od tego zboża zależało ocalenie stoli-
cy. Ale na morzu szalała burza i marynarze bali się
wypłynąć. Wtedy Pompejusz dla dodania im otuchy
pierwszy wbiegł na pokład okrętu i przekrzykując ryk
burzy słowami, które przetłumaczono wam przed
chwilą, porwał za sobą załogę.

Nauczyciel wyprostował się i wypiął wąską pierś,
jakby on sam w tej chwili był Pompejuszem przekrzy-
kującym ryk burzy. Złe umocowane okulary zachwia-
ły mu się na nosie.

- Od tego historycznego zdarzenia upłynęło dwa
tysiące lat. Od dwóch tysięcy lat słowa rzymskiego
wodza towarzyszą ludzkości. Znajdziecie je wyryte na
wrotach starych portów. Przypominają o marynarskim
obowiązku marynarzom całego świata. Ich sens prze-
nośny przemawia nie tylko do marynarzy, przemawia
do każdego człowieka. Te słowa głoszą, że w życiu
najważniejsze jest działanie. Navigare necesse est.
Życie" bez pracy, bez obowiązków jest niczym. Rozu-
miecie: niczym!

15

Ostatnie słowa nauczyciel prawie wykrzyknął. Nie
patrzył na uczniów. Zdawało się, że mówi do kogoś
znajdującego się daleko poza klasą. Rękę uniósł do
góry gestem rzymskiego trybuna. Jego grube szkła
błyszcząły groźnie i dostojnie.

Klasa słuchała tego przemówienia w lekkim oszoło-
mieniu. Nikt dobrze nie rozumiał, p co właściwie No-
wemu chodzi. W każdym razie widowisko było niezwy-
kłe i interesujące.

Naraz z ostatnich ławek ktoś głośno i bezczelnie
zakaszłał, przedrzeźniając kaszel nauczyciela.

- Khe-khe-khe! Khe-khe-khe!

Nastrój w jednej chwili prysł. Naśladownictwo było
tak udane, że cała klasa ryknęła wielkim śmiechem.

Nauczyciel zbladł i cofnął się lekko, jak człowiek
uderzony w pierś. Jego duże, czerwone dłonie, zaci-
snęły się w pięści.

- Nie warto z wami poważnie rozmawiać! Zach-
wujecie się jak stado baranów!

- Ooo! - zabrzmiało zuchwale i groźnie ze wszy-
stkich stron. - Ooo! --^

- Silentium! - krzyknął nauczyciel. Ale tym ra-

zem nie wywarło to już takiego wrażenia jak poprzednio. Wśród rosnącego gwaru mały, szczuplutki Toronczyk podniósł do góry dwa palce.

- Czego chcesz?

- Panie psorze - zapytał niewinnie uśmiechnięty Toronczyk - czy Pompea to była żona Pompejusza?

16

p... •^F-?,^-'"-.'- ^y^^iWf'!!!3:'-?'^'7" "f" •';:7t;wii^iff-
?';.(r)|is^k"4^';!lT.ra.^gEi^r'51^!^

Znowu wybuchnął śmiech. Nauczycie! gwałtownym gestem zdjął binokle. Na łysinie wystąpiły mu drobniutkie kropelki potu. Zmęczonymi oczami w czerwonych obwódkach wpatrzył się tak mocno w twarz Toronczyka, jakby ją chciał zapamiętać na całe życie.

- Nie, Pompea nie była żoną Pompejusza - odpowiedział cicho. - Ale tobie, błażnie, wpiszę uwagę do dziennika za to, że drwisz z nauczyciela.

Po lekcji do ósmaków zbiegli się uczniowie ze starszych klas, żeby dowiedzieć się czegoś o nowym łacinniku. Liskowicz, który cieszył się u starszych największym autorytetem, wykonał ręką nieokreślony gest.

2 ~ Honorowy łobuz

17

- Jak by wam powiedzieć? Jest taki więcej... Plusquamperfectum - postać z czasu pozaprzszłego.

- W dechę powiedziane - ucieszyli się starsi. -

Masz atomową gtowę, Lisek! Plusquamperfectum, he-

-he-he!

W ciągu piętnastu minut powiedzenie Liskowicza

obiegło całą szkołę, zdobywając sobie wszędzie uznanie. Ponieważ jednak Plusquamperfectum było nazwa za długą i za trudną, znalazł się po drodze jakiś racjonalizator i nowego łacinnika przezwano po prostu... "Pluskwą".

Stosunki między nowym nauczycielem łaciny a klasą ósmą od początku ułożyły się źle, a w miarę upływu czasu pogarszały się coraz bardziej. Być może, że gdyby nie ów ośmieszający incydent przy końcu pierwszej lekcji sprawy poszłyby zgoła innym torem. Stary profesor miał pewne zalety, których trudno było mu zaprzeczyć. Znał doskonale swój przedmiot, lubił przytaczać różne ciekawe anegdoty historyczne, ze starożytności i od czasu do czasu udawało mu się naprawdę zainteresować uczniów. Ponieważ jednak wyrok na Pluskwa został wydany już po pierwszej lekcji, ósmacy z całą młodzieńczą bezwzględnością zamknęli oczy na jego zalety, a wzięli pod ostrzał wszystkie jego wady. Trzeba przyznać, że wad tych było sporo. Nowy łacinnik był drobiazgowym pedantem, łatwo

wpadał w gniew, uczniów traktował z wyjątkową surowością i ironicznie i nie omijał żadnej okazji do wyrażenia swego ujemnego sądu o dzisiejszej młodzieży. Lubił także wpajać w ósmaków szczytne zasady moralne starożytnych Rzymian. W momentach najbardziej nieoczekiwanych zwracał się do klasy po łacinie i usiłował zmuszać uczniów do kaligraficznego pisania. Astmatyczny kaszel profesora wprost prowokował do przedrzeźniania, binokle często spadały mu z nosa, a podejrzane tasiemki wymykające się od czasu do czasu spod postrzępionych spodni również nie przydawały mu autorytetu w uczniowskich oczach.

W wyniku tego wszystkiego konflikt między ósmą klasą a nowym łacinnikiem pogłębiał się z dnia na dzień. Ósmacy dla uprzykrzenia życia nie lubianemu profesorowi puścili w ruch cały arsenał odwiecznych środków odwetowych. Śmiecie w koszach płonęły na lekcjach łaciny wysokim ogniem, niby bojowe wici. Na krótkiej drodze od drzwi do katedry czyhały na łacinnika nieustanne zasadzki i niebezpieczeństwa - poczynając od gwoździ i pluskiewek, a kończąc na kleju stolarskim. W powietrzu rozpylano całe paczki tabaki, skazując się dobrowolnie na łzawienie oczu i drapanie w gardle, byle tylko doczekać się jednego profesorskiego kichnięcia. Tłumaczenie tekstów z „Elementa Latina” odbywało się przy akompaniamencie spazmatycznego kaszlu, w którym celowali przede wszystkim uczniowie z ostatnich ławek. Zadawano „dla zgrywy” dziesiątki głupich pytań. A kiedy nau-

czyciel pisał na tablicy tytem odwrócony do klasy, Wykrzykiwano głośno jego obraźliwe przezwisko. W momentach szczytowego ożywienia w klasie ósmej pano-

wa! taki hałas, jak w ogrodzie zoologicznym w czasie karmienia zwierząt.

Ale nowy nauczyciel nie był wobec uczniów bezbronny. Sytuacja na Sekcjach łaciny przypominała wojnę pozycyjną. Każdej ofensywie odpowiadała skuteczna kontrofensywa. Dopóki przerabiano nowe materiały, uczniowie w/-poczuciu zupełnego bezpieczeństwa dopuszczali się najdzikszych swawoli w stosunku do nauczyciela. Z chwilą jednak gdy nauczyciel otwierał dziennik, aby przystąpić do pytania z zadanych lekcji, hałas milkł i zapadała trwoźna cisza.

Vi/ ostatnich piętnastu minutach lekcji Pluskwa odzyskiwał wszystkie pozycje utracone w ciągu poprzedniej pół godziny.

W krótkim czasie nie lubiany nauczyciel osiągnął to, o co daremnie zabiegała łagodna panna Szadkowska. Łacina stała się v-! liceum grabkowskim ważnym przedmiotem i łaciny musiano się uczyć. Za to znienawidzono Pluskwę jeszcze bardziej;

Niekiedy postępowanie starego nauczyciela wprawdaż w zdumienie całą szkołę.

Pewnego wieczora iacinnik, wracając z posiedzenia Rady Pedagogicznej, riatknął się na grabkowskim "deptaku" na znaną piękność grabkowskiego liceum, Pakównę, przezywaną „Lolobryg'!da”. Pakówna szła pod rękę z dwoma studentami i zgodnie z przyjętym

20

zwyczajem udała, że w ogóle nie dostrzega przechodzącego profesora. Ale Pluskwa nie zważając na konwenanse zatrzymał Lolobrygidę i zaczął ją głośno strofować w obecności zgorszonych amantów,

- Pakówna powinna siedzieć w domu i uczyć się łaciny, a nie włóczyć się po ulicach z mężczyznami!

- Panie profesorze-r, wykrztusiła śmiertelnie obrażona uczennica -' kiedy ja już dawno odrobiłam wszystkie lekcje.

- W takim razie trzeba pomagać w łacinie innym, słabszym koleżankom! I kto to widział, żeby

malować sobie twarz jak kłown z cyrku! Pakówna powinna pamiętać, że jest jeszcze uczennicą!

Lolobrygida opowiadała o tym spotkaniu kolegom, trzęsąc się całą z irytacji.

- Wyobrażacie sobie? Podobny stosunek do człowieka w drugiej połowie dwudziestego wieku, w Ludowej Polsce!

Ósmacy słuchając relacji Pa-

21

Równy pękali ze śmiechu, poszarpywali przyjaźnie "koński ogon" koleżanki, ale oburzenie jej podzielali całkowicie.

- Bimbaj sobie z tego, Lolobrygidka! Jesteś wdechowa babka, a stara Pluskwa to stara Pluskwa. Przecież Lisek powiedział: Plusquamperfectum - powstać z czasu zaprzeszczonego!

Wkrótce potem doszło do starcia między nowym łacinnikiem a uczniem ósmej klasy, Waśniewskim.

Waśniewski - zwany popularnie „Szlaja” - był zupełnie niezłym prawoskrzydłowym w szkolnej drużynie piłki nożnej, ale jego rozwój duchowy pozostawiał wiele do życzenia. Cała mądrość Szlai umiejscowiła się w muskularnych nogach i pomimo uzgodnionych wysiłków wszystkich pedagogów grabkowskich ani rusz nie chciała przenieść się wyżej. Swoją niechęć do nauki i rażące braki w wykształceniu pokrywał Waśniewski - nie bez powodzenia - ożywioną działalnością społeczną. Udział w rozmaitych imprezach i uroczystościach szkolnych chronił go jak tarcza przed zakusami nauczycieli, którym przychodziła do głowy niewczesna myśl skontrolowania jego postępów w tej czy innej dziedzinie wiedzy szkolnej.

Incydent, o którym mowa, rozegrał się w okresie przygotowań do uroczystego obchodu jednego ze świąt państwowych. Wywołany do odpowiedzi z łaciny uczeń Waśniewski powstał ze swego miejsca z niezwykłą jak na niego ochotą, spojrział śmiało w oczy nauczyciela i z pełną godności swobodą oznajmił:

22

-Niestety, panie psorzę, jestem nie przygotowany. Cały wczorajszy dzień byłem zajęty przygotowywaniem akademii, więc...

Łacinnik swoim zwyczajem poprawił binokle na nosie i wyblakłymi oczami popatrzył przeciągle na stojącego w ławce ucznia. Przez chwilę jakby się nad czymś zastanawiał, po czym wziął w rękę pióro.

- Akademia to piękne stare słowo, Waśniewski'!
Powinieneś o tym wiedzieć. W starożytności akademie były szkołami mędrców, dzisiaj tę nazwę nadaje się uniwersytetom bądź pouczającym obchodom wielkich rocznic historycznych. Tak czy inaczej, akademie były i są po to, żeby wspierać naukę, a nie żeby jej przeszkadzać. Rozumiesz, Waśniewski? Dlatego twojego usprawiedliwienia nie mogę przyjąć do wiadomości.

- Panie psorzę! - krzyknął Waśniewski, zupełnie zaskoczony takim obrotem sprawy. - Mnie do przygotowania akademii delegowała organizacja. To było zadanie organizacyjne!

- Nic mnie nie obchodzą wasze zadania organizacyjne - odpowiedział spokojnie nauczyciel. - Organizacje szkolne także nie po to istnieją, żeby przeszkadzać nauce. Siadaj, masz niedostatecznie!

1 Pluskwa energicznym posunięciem pióra wpisał Waśniewskiemu do dziennika wielką pałę.

Po lekcji podniecony Waśniewski podszedł do Liskowicza i zaciągnął go konspiracyjnie w kąt.

- No i co sądzisz o tym typie?

- O Pluskwie? - spytał dla pewności Lisko-

23

wież. - No cóż, chyba miał rację, że rąbnął ci tę pałę.

- Nie chodzi mi o to, co było dziś! - rozzłościł się Waśniewski. - Ale całe jego zachowanie od samego początku. Jak on się odnosi do naszej organizacji, do naszych akademii i... w ogóle do całej rzeczywistości.

- A... w ogóle? - Liskowicz kpiąco zmrużył oczy. - W ogóle to Pluskwa jest... starym agentem imperialistów. Nasłali go tu specjalnie po to, żeby ci rąbał pały z łaciny. Bądź co bądź to poważne ciosy dla całego obozu demokracji. O to ci chodzi, Szlaja?

-- Nie wygłupiaj się. Lisek - rzekł przez zaciśnięte zęby blady z wściekłości Waśniewski - kpić sobie możesz ze swojej babci! Oświadczam ci, że Pluskwa to podejrzany typ i... mam na to dowody.

- Dowody? - parsknął Liskowicz. - Bardzo jestem ciekaw, jakie ty możesz mieć na to dowody!

^- Bardzo proszę! Zauważyłeś pewnie, że Pluskwa nie pozwala sobie odnosić do domu zeszytów z klasówkami?

W oczach Liskowicza pojawił się pierwszy błysk zainteresowania. Sprawa zeszytów z klasówkami była nieraz komentowana wśród ósmaków, a także i w innych klasach. W szkole grabkowskiej od niepamiętnych czasów utarł się zwyczaj, że po każdej klasówce dyżurni pomagali nauczycielom odnosić do domu ciężkie paki zeszytów. Otóż nowy łacinik, mimo swego podeszłego wieku, zdecydowanie wystąpił przeciwko

24

temu zwyczajowi. Po pierwszej klasówce odprawił burkliwie dyżurnych, oświadczając, że nie potrzebuje żadnych tragarzy do pomocy, i zeszyty zabrał sam, choć było widać, że dźwiganie ciężkiej paki przysparzało-mu niemało trudu.

- No... zauważyłem. I co z tego?
,/ - Z tego to, że Pluskwa łaska bruliony wcale nie dlatego, że jest takim cholernym demokratą, tylko po prostu nie chce, żeby uczniowie wiedzieli, gdzie mieszka. On się z jakichś powodów ukrywa, kapujesz? Zostań dziś ze mną po lekcjach, to sam zobaczysz, jakie cuda wyczynia po wyjściu ze szkoły, żeby zatrzeć za sobą ślady. Mówię ci, Lisek, że za tym kryje się jakaś niewąska draka. Chciałem go rozpracować już od dawna. Ale wolę z tobą. No, Lisek... bądź człowiekiem i dawaj grabę... Z tego może być niezła draka.

Liskowicz zamyślił się głęboko. Widać było, że Jego atomowa głowa pracuje z wysiłkiem.

- No, dobra - zdecydował wreszcie. - Wszystko, co mówisz, brzmi bardzo głupio, ale sprawdzić go można. Od tego jeszcze nikt nie umarł.

II!

Tego dnia po lekcjach Liskowicz i Waśniewski pierwsi opuścili gmach szkolny. Nie poszli jednak jak zwykle do domu, lecz przebiegli szybko na drugą stronę ulicy i ukryli się za murem zburzonego budynku;

Z tego ukrycia można było swobodnie obserwować wyjście szkolne i przystanek jedynej linii tramwajowej, łączącej Grabków z szeregiem sąsiednich osiedli.

Wkrótce po zajęciu przez chłopców posterunku obserwacyjnego ze szkoły zaczęli się wysypywać uczniowie. Część z nich szła do domów pieszo, inni zatrzymywali się przy przystanku tramwajowym. Nadjechał tramwaj i zabrał sporą gromadkę czekających. Z wyjścia szkolnego płynął teraz zwarty tłum. Znowu przyjechał tramwaj i znowu przystanek opustoszał. Potem ze szkoły razem z uczniami zaczęli wychodzić nauczyciele. Najpierw energiczny gimnastyk, za nim Niemka z matematykiem, potem inni. Po odjeździe czwartego tramwaju natężenie ruchu osłabło. Jeszcze jedna zapóźniona gromadka maruderów, jeszcze jakiś samotny uczeń z najstarszej klasy, i drzwi szkolne przestały się otwierać. Na wysepce przy przystanku i na całej ulicy zrobiło się cicho i pusto. Pluskwy ciągle jeszcze nie było.

- A co, nie mówiłem? - triumfował Waśniewski.

-- Zamknij się! - syknął niecierpliwie Liskowicz. Ale i jego poczęto ogarniać podniecenie, jakie odczuwa myśliwy na chwilę przed ukazaniem się grubego zwierza.

Upłynęło jeszcze kilka długich męczących minut. Pluskwa wyszedł ze szkoły ostatni.

Był jak zwykle obładowany wypchaną teczką i pakami zeszytów. Na głowie mimo listopadowego chło-

du nie miał kapelusza i jego wielka łysina świeciła żółtością szafranu. Teraz na otwartym powietrzu wydał się chłopcom jeszcze starszy niż na lekcjach.

Liskowicz musiał w duchu przyznać rację Waśniewskiemu. Nauczyciel zachowywał się dziwnie. Szedł jakimś skradającym się krokiem i co pewien czas oglądał się niespokojnie, jakby chcąc stwierdzić, czy ktoś za nim nie idzie. Na wysokości wysepki z przystankiem tramwajowym zatrzymał się na chwilę i widać było, że się waha, czy nie poczekać na tramwaj. Potem zerknął w stronę gmachu szkolnego, zgarbił się jeszcze bardziej i ruszył dalej na piechotę.

•- Za nim w trop! - zakomenderował Waśniew-

ski.

W pustej ulicy Szkolnej nie było to wcale, takie proste. Chłopcy, przebiegające z bramy do bramy, musieli dokazywać cudów zręczności i szybkości, aby nie pozwolić się dostrzec ciągle oglądającemu się za siebie profesorowi. Zadanie ich stało się łatwiejsze, kiedy ze Szkolnej skręcili w ożywioną ulicę Główną,, Teraz łysina łacinnika ginęła im co chwila w tłumie przechodniów. Dopadli go dopiero na przystanku tramwajowym. Tkwił w samym środku gromadki czekających i omal się na niego nie nadziali. Na szczęście na przystanku było dużo osób i udało im się przycupnąć za plecami jakichś wysokich robotników. Teraz obydwaj chłopcy nie mieli już żadnej wątpliwości, że Pluskwa zaciera za sobą ślady. Tylko facet o zabazanym sumieniu mógł wlec się niepotrzebnie taki

27

kawał drogi, żeby 'następnie wsiąść w tramwaj, który miał pod sama szkołą.

- No, miałem rację czy nie miałem racji? - szepnął Wasniewski.

- Odwal się!-- zareplikował krótko Liskowicz. Nie chciał za nic pokazać Szlai, że cała sprawa interesuje go coraz bardziej.

Po chwili nadjechał tramwaj. Pluskwa jeszcze raz się obejrzał, po czym zdecydowanym krokiem ruszył w stronę pierwszego wagonu. Chłopcy, lekceważąc sobie regulamin tramwajowy, wskoczyli na przedni pomost drugiego wozu.

Mimo że z przedniej platformy mieli dogodny

wgląd w głąb pierwszego wozu. Pluskwę udało im się dostrzec dopiero po przejechaniu następnego przystanku, kiedy w tramwaju zrobiło się nieco luźniej. Nauczyciel stał w przejściu między ławkami. Teczkę i zeszyty musiał widocznie umieścić na czyichś kolanach, gdyż obie ręce miał wolne.

W jednej trzymał otwartą grubą książkę, drugą - z na wpół odwiniętą z papieru bułką - podnosił właśnie do ust.

- Widzisz, jak wcina?- szepnął Wasniewski takim tonem, jakby do rejestru oskarżeń pod adresem łacinnika dodawał nową okoliczność obciążającą.

"No to co, że wcina?".'- chciał odpowiedzieć Li-

skowicz. Ale nie powiedział nic. W atmosferze, jaka się teraz wytworzyła, nawet prosty fakt spożywania przez nauczyciela bułki w tramwaju miał w sobie coś podejrzanego. -'

Tymczasem zatłoczony tramwaj toczył się powoli przez długi ciąg zabudowań fabrycznych i osiedli robotniczych składających się na obszar "wielkiego" Grabkowa.

Chłopcy niecierpliwiili się. Zdawało się, że ta dziwna podróż nigdy się nie skończy.

W pewnej chwili Wasniewski wspiał się na palce i w nagłym podnieceniu trącił zamyślonego Liskowicza. Pluskwa obładowany wszystkimi swymi tobołami przepychał się do wyjścia.

Wysiedli z tramwaju na jednym z ostatnich przystanków w bujnie zadrzewionej dzielnicy willowej.

Dopiero tu, wśród drzew, ogrodów i dogodnych i , zasłon terenowych, tropienie nauczyciela nabrało właściwego, upajającego smaku. Chłopcy posuwali się chyłkiem za kryjącą ich ścianą żywopłotu. Drapieżny wzrok utkwił w zgarbionych plecach idącego środkiem ulicy nauczyciela. Czuli się jak detektywi z powieści Conan Doyle'a i Wallace'a. Nawet zrównoważony Liskowicz był teraz przekonany, że bierze :

udział w jakimś niezwykle doniosłym przedsięwzięciu o wadze zgoła państwowej.

A nie domyślający się niczego Pluskwa szedł sobie spokojnie swoją drogą, przystając tylko od czasu do czasu dla poprawienia ciężkich pakunków. Teraz nie l

30-

j

zachowywał już żadnych środków ostrożności. Widać było, że czuje się zupełnie bezpieczny,

Po przejściu kilkuset metrów nauczyciel zatrzymał się przed jedną z okazalszych willi, otworzył furtkę i nie spojrzawszy nawet za siebie, y/szedł do ogrodu.

Chłopcy śledzili go pilnie zza żywopłotu po drugiej stronie drogi, póki nie zniknął za drzewami willi.

- Niczego sobie stajnia, co? - gwizdnął z podziwem Wasniewski.

Ale Liskowicz, który miał bystrzejszy wzrok i umysł,

niecierpliwym gestem ręki uciszył kolegę.

- Nie wygłupiaj się, Szlaja, on tu wcale nie mieszka. To jakiś urząd. Widzisz przecież tablicę.

Istotnie, po obu stronach willi czerwieniły się urzędowe tablice. Ale z miejsca, w którym znajdowali się młodzi obserwatorzy, nie można było nawet nriarzyć o odczycaniu ich treści.

- Urząd? --zdumiał się całkowicie zbity z tropu Wasniewski. -A cóż on teraz może załatwiać w urzędzie?

-Spytaj się wróżki, to ci powie. Nie ma innej rady. tylko trzeba czekać, aż wyjdzie. Nocować tam przecież nie będzie. Gdzieś chyba musi mieszkać.

Czekali przez długich piętnaście minut, skrupulatnie odmierzonych na zegarku/Wpatrywali się, aż do bólu oczu, w zamknięte drzwi willi.Ale Pluskwa nie wyszedł.

-. 'Nie ma co - zdecydował na koniec Lisko-Trzebd zrobić co innego. Musimy odczytać

WICZ.

31

te tablice i dowiedzieć się, co to za urząd. Może jego w ogóle stamtąd nie wypuszczą.

Młodzi detektywi wyskoczyli z za żywopłotu i ostrożnie podeszli do furtki tajemniczego ogrodu. Ale litery na tablicy były jakieś fantazyjne i nawet z tak nieznacznej odległości nie można było ich odcyfrować. Drżąc z emocji, chłopcy odemknęli furtkę i wśliznęli się do ogrodu. Kiedy podeszli do willi zupełnie blisko, Liskowicz odczytał napis: "Państwowy Dom Rencistów przy Powiatowej Radzie Narodowej".

- Dom Rencistów? - zdumiał się ponownie Waśniewski. - Pierwszy raz słyszę.

- Po prostu schronisko dla starców, ty ćwóku! - rzekł zmienionym głosem Liskowicz. - Ale to przecież niemożliwe!... On tu nie może mieszkać!

W nagłej panice chwycił kolegę za ramię.

- Słuchaj, Szlaja, to jakaś głupia historia. Wiekmy stąd, póki czas!

Ale na odwrót było już za późno. Właśnie w tej chwili otworzyły się drzwi domu i ukazała się v/ nich wysoka zgarbiona sylwetka Pluskwy.

Chłopcy zdrętwieli ze zgrozy. Prawie bez tchu, niezdolni do wykonania najmniejszego ruchu wytrzeszczali oczy na łacinnika.

Wyglądał zupełnie inaczej niż przed piętnastoma minutami. Miał teraz na sobie długi, nieporządny szlafrok, a w rękę zamiast teczki i zeszytów dźwigał duże wiadro, jakiego zazwyczaj używa się do wynoszenia śmieci.

32

Na "widok uczniów wiadro wypadło mu z ręki i potoczyło się z blaszanym hałasem ' po betonowej ścieżce. Żółta-1 wa twarz starego nauczyciela poczerwieniała w gwałtownej pasji.

- Co wy tu robicie?!

- Panie psorze! --'wyjąkał struchlały Liskowicz. - My nie... ja my naprawdę...

- Szpiegowaliście mnie!- powiedział nauczyciel. - Jakie to wstrętne z waszej strony, jakie niskie! Mało tego, ' co dzieje się na lekcjach. Przyszliście za mną aż tu... Dobrze... Biegnijcie teraz zgłosić między kolegami, że mieszkam w przytułku dla starców... Macie rację: jestem stara, głupia Pluskwa! Dają mi tu jeść, spać, wypłacają emeryturę, a ja mimo to pcham się jeszcze do szkoły, gdzie mnie już nie chcą! No, biegnijcie, już! Na co jeszcze czekacie?!

Nauczyciel zakrztusił się'

3 - Honorowy łobuz

33

i zaniósł od duszącego kaszlu. Kaszlał długo i ciężko z jedną ręką na sercu, drugą podtrzymując opadające z nosa binokle.

- Ale powiedzcie im także - zdołał wreszcie wydyszeć - że od czterdziestu lat uczę młodzież i będę ją uczył, póki mi starczy sił. Stara Pluskwa wiele jeszcze wytrzyma. Nie zniechęćcie jej tak łatwo. A teraz już idźcie! Czego tu jeszcze stoicie? Idźcie precz!

Wyciągnął rękę w stronę furtki ruchem tak gwałtownym, że nie zdołał już pochwycić spadających okularów. Prysły o beton chodnika.

Razem z binoklami opadło z profesora łaciny całe podniecenie. Stał teraz przed swymi prześladowcami zmęczony kaszlem i gniewem, stary, zgarbiony, bezradny. Oddychał z trudem. Zaczerwienione oczy przesłoniła mu wilgotna mgła. .

- Samo życie człowiekowi nie wystarcza - poskarżył się żałośnie. - Kiedyś, na starość, sami się o tym przekonacie. Co z tego, że mam gdzie spać i co jeść... Vivere non est necesse. Navigare necesse est.

Na dźwięk znajomych słów uczeń Liskowicz ocknął się z paraliżu. Schylił się sztywno jak automat, -podiósł z chodnika stłuczone okulary i gestem pełnym pokory -• jakby prosząc o przebaczenie - podał je staremu nauczycielowi.

EKSPERYMENT NAUKOWY

Pokój był obszerny, zacieniony gałęziami śliw, które rosły tuż pod oknami - i mocno zagracony. Jego minioną świetność łatwo było wyczytać z wysokiego sufitu. Wiły się tam misterne sztukaterie, polatywały skrzydlate amorki, py&ztiiły się jędrne kiście winogron. Na całym tym gipsowym bogactwie leżała gruba, prawie czarna patyna kurzu, nie ścieranego od stuleci. Ze ściany odartej z tapet i pełnej zacieków, z poczerńiałych ram portretu wychylała się czerwona postać kasztelana. Na wargach antenata dawnych dziedzi-ców zastygł lekki uśmieszek. Twarde oczy pana pa-trzyły z drwiącą dezaprobatą na nowe życie starej siedziby...

Nowe życie demonstrowało swe treści na antycznym stole jadalnym, przekształconym obecnie na warsztat

pracowni naukowej. Stały tu dwie klatki z żywymi kro-;;

likami, niklowany sterylizator do gotowania strzykawek, wiejska kobiałka z numerowanymi jajkami kurzymi, misterna waga podobna do aptekarskiej i jeszcze jakiś przyrząd niewiadomego przeznaczenia. Pozostało część stołu zajmowały skoroszyty, atlasy przyrodnicze i dość chaotyczne porozrzucone papiery. Żona kierownika stacji doświadczałnej z gorączkowym pośpiechem uprzętała cały ten papierowy bałagan, aby uzyskać nieco miejsca na podwieczorek dla niespodziewanych gości, którzy przypłynęli jeziorem z pobliskiego miasteczka.

- Pani inżynier niepotrzebnie sprawia sobie kłopot - wymawiał się grzecznie dziennikarz. -• Włó-

36

czymy się od świtu po jeziorze, więc trudno było nie wstąpić. Placówka hodowlana Akademii Nauk w samym sercu mazurskich lasów to dla turystów nie lada gratka. Ale nie znaczy to wcale, że" musimy was zaraz objadać.

-Nie ma mowy o żadnym kłopotcie - zaprotestowała młoda kobieta. - Na tym odludziu zawsze jesteśmy spragnieni gości. Szkoda tylko, że mąż wyjechał do miasta. Będzie niepokieszony, że się z panami nie spotkał.

„Takiego inżyniera jeszcze nie widział - zachwycał się w duchu malarz,-który nie mieszajae się do rozmowy już od kilkunastu minut rysował gospodynię

w swoim kieszonkowym szkicowniku. - Z pewnością repatriantka zza Buga. Podobne brwi i zęby spotykało się przed wojną tylko w tamtych stronach. Dziwnie do niej nie pasują ci dwaj jasnowłosi mazowiecy synowie".

Starszy synek gospodyni, który dotychczas stał pod ścianą, mierzając nieufnym wzrokiem gości, zachęcony spojrzeniem malarza podszedł do jego krzesła i zajął mu do szkicownika.

- Mama! - v/rzasnął z tryumfem, - On ciebie

narysował, ale zupełnie do kitu!

- Wojtek! - oburzyła się zawstydzona matka. - Jesteś źle wychowany! O obcym panu nie mówi się

"on"!

- Ojej, a tata mówi jeszcze gorzej! - zaperzył się chłopiec. - Pamiętasz, co wczoraj powiedział o tych dwóch z powiatu?

- Daj mi święty spokój i. nie popisuj się przed gośćmi - ucięła matka, darząc starszego syna spoj-
rzeniem, w którym w tej chwili nie było nawet cienia matczynej czułości. Tymczasem młodszy syn, ośmiolet-
ni Maciek, wykorzystując nieuwagę dorosłych, oparł się o stół i najspokojniej wybierał kostki cukru z wiel-
kiej srebrnej cukiernicy.

- Maciek, natychmiast odstaw cukiernicę!
Maciek bez sprzeciwu odsunął się od stołu, ale
pełna garść cukru zdażyła przedtem powędrować do
kieszeni jego spodenek.

- Tak z nimi jest od rana do wieczora - poskar-

żyła się gościom żona kierownika stacji doświadczal-
nej. - Muszę teraz na chwilę zajrzeć do kuchni, a
już drzę na myśl, co oni tu zwojują w czasie mojej
nieobecności. Sił już nie starcza do tych łobuzów.

Po wyjściu matki z pokoju miejsce przy srebrnej cu-
kiernicy zajął dla odmiany Wojtek i, nie zwracając
najmniejszej uwagi na nieśmiałe protesty dziennika-
rza, zabrał się do systematycznego opróżniania jej
wnętrza.

Natomiast Maciek zbliżył się do malarza i nawią-
zał z nim rozmowę.

- Nieck. pan powie: złowiliście w jeziorze dużo
ryb?

Malarz odpowiedział najpoważniej w świecie:

- Złowiliśmy tylko jedna.. Ale była taka duża, że
i tak nikt by w nią nie uwierzył. Więc wrzuciliśmy ją
z powrotem do jeziora.

Maćka zatkało. Przez chwilę stał z otwartymi usta-
mi, wybałuszając oczy na malarza, potem podreptał
do brata. Ale starszego niełatwo było zadziwić. Nie
odwracając się od cukiernicy, machnął pogardliwie
ręką.

- Robi z ciebie balona, nie widzisz czy co!
Malarz roześmiał się hałaśliwie. Bawili go ci nie-

sforni chłopcy. Nade wszystko jednak bawiła go zgorzszona mina dziennikarza, który jego stosunek do dzieci uważał za wysoce niepedagogiczny.

Po chwili Maciek znowu znalazł się przy fotelu gościa i powrócił do przerwanej rozmowy.

39

- A niech pan powie: jakby wilki chwyciły w lesie konia, to dadzą sobie z nim radę czy nie dadzą rady?

Starszy brat odwrócił się gwałtownie od cukiernicy. Teraz i on zainteresował się rozmową. Dwa niecierpliwego spojrzenia zawisły na ustach malarza.

Gość zrozumiał, że z tego pytania żartować już nie wolno.

- Powiedz mi, chłopcze, dlaczego o to pytasz?

- A... bo tak! No, niech pan powie... dadzą radę czy nie dadzą rady?

- Poradzą sobie z nim, na pewno sobie poradzą - dobrodusznie wyręczył malarza dziennikarz. - Jaki koń obroni się w lesie przed wilkami?

Chłopcy pokiwali smętnie głowami. Nie zdawali się oczekiwać innej odpowiedzi, ale byli nią wyraźnie zgnębieni.

Po chwili wróciła z kuchni matka chłopców niosąc tacę z kawą i ciastem. Sprawiała wrażenie przyjemnie zaskoczonych tym, że podczas jej nieobecności w pokoju nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego.

Goście ochoczo przysunęli fotele do stołu, gdyż wbrew uprzednim zapewnieniom dziennikarza byli porządnie głodni. Zabrano się w pogodnym nastroju do nalewania kawy i krajania ciasta. Skandal wybuchnął dopiero po otwarciu cukiernicy.

- Powinam się była tego spodziewać - jęknęła z rozpaczą gospodyni - nie ma ani jednej kostki! A zaledwie przed godziną nasypałam cukru do pełna.

40

Nie mogę wprost pojąć, jak się to wszystko mieści w ich żołądkach. Wojtek! Maciek!

Ale na wołanie matki odpowiedziała głucha cisza.

Chłopcy zniknęli z pokoju jak zdmuchnięci przez wiatr.

Ponieważ okazało się, że w domu nie ma więcej cukru, kawę - ku wielkiemu strapieniu gospodyni - goście musieli pić nie ostodzoną. Sączyli cierpki płyn drobnymi łyżkami, zagryzając go smacznym ciastem. Młoda kobieta opowiadała im p pracy stacji doświadczalnej.

Prowadzili tę stację razem z mężem. On był z wykształcenia agronomem, ona ukończyła agrobiologię. Siedzieli w puszczy już od trzech lat i właściwie bardzo by sobie to życie chwalili, gdyby nie kłopoty z dziećmi, które w leśnym otoczeniu wyrastały na zupełnych dzikusów.

Sama praca bardzo była ciekawa. Studiowano tu, dziedziczenie cech nabytych u zwierząt. Początkowo zajmowano się tylko królikami i domowym ptactwem,, Ostatnio przybyły także konie, 1 to konie szczególniego rodzaju. Ale końmi zajmuje się mąż przy pomocy specjalnego instruktora hodowlanego przysłanego z Puław. Ona się na tym nie zna i nie ma z tym nic wspólnego.

W tym miejscu opowiadanie gospodyni uległo przerwie, gdyż w otwartym oknie ukazała się nieoczekiwane jasnowłosa głowa Wojtka.

- Mama - krzyknął chłopiec - oni nie widzieli jeszcze tarpanów! My ich tam zaprowadzimy...

41

- Nie pokazujcie mi się na oczy - odpowiedziała gniewnie matka. - Jak wróci ojciec, to z wami porozmawia. Ale nie o tarpanach, tylko o cukrze.

Jasna głowa zniknęła tak samo gwałtownie, jak się ukazała. Zza okna dobiegł przejmujący gwizd.

- Cóż to są te tarpany? - zainteresował się dziennikarz.

- To właśnie konie, o których mówiłam. Mamy tu coś w rodzaju rezerwatu dzikich koni, a raczej koni, które dopiero się zdzicza. Panowie nie słyszeli nigdy o tarpanach? Tarpany hoduje się w Polsce już od dawna. Ale ostatnia wojna zniszczyła hodowlę i teraz zaczynać trzeba jeszcze raz od początku.

- Nie miałem pojęcia - zdumiał się dziennikarz - że w' Polsce hoduje się dzikie konie. Trzeba koniecznie te tarpany obejrzeć. /

- Jak panowie sobie życzą. Tylko że do ^zagrody tarpanów jest stąd dość daleko. Trzeba iść przez las

dwa kilometry z okładem. Ale chłopcy mogą was zaprowadzić.

Dziennikarz tak się zapalił do zobaczenia dzikich koni, że mimo wrodzonego lenistwa gotów był iść do rezerwatu dwa kilometry, nawet i więcej. Ale malarz sprzeciwił się stanowczo tej wyprawie. Stonce wisiało już nisko nad jeziorem i czas było myśleć o powrocie do domu. Telepać się nocą po nieznanym jeziorze - żadna przyjemność.

Kiedy zaczęli się z sobą gorąco spierać, znowu zaszurały za oknem rozgarniane gałęzie. Teraz do po-

42

koju zajrzały dwie jasne głowy. Chłopcy byli czymś podnieceni.

- Mama - pisnął przeraźliwie starszy - idzie ten drań Gwizdała!

- Drań Gwizdała! Drań!...
Drań!... - wtórował bratu jak echo młodszy.

Gospodyni pogroziła palcem synom, a potem z żartobliwym współczuciem spojrzała na gości.

- No, teraz już koniec, panowie. Chcecie czy nie chcecie, będziecie musieli wysłuchać całej historii tarpanów. Z panem Gwizdałą na ten temat nie ma żartów. To nasz instruktor z Puław. Najlepszy zresztą człowiek pod słońcem. Tylko chłopcy mają z nim swoje porachunki. O tego Gwiaździstego...

- O Gwiaździstego? -bąknął skołowany dziennikarz. --A to kto znowu ten Gwiaździsty? ..

Ale odpowiedzi na to pytanie nie zdążył już otrzymać. Skoro tylko chłopcy przepadli za oknem, w sieni zaszczekały psy i zatupotały ciężkie kroki. Do pokoju wszedł pan Gwizdała.

43

Na widok tej nowej postaci dziennikarz i malarz mimo woli pociągnęli nosami. Było to oczywiście złudzenie, ale mogliby przysiąc, że w pokoju zapachniało stajnią. W całym wyglądzie instruktora - w jego krzywych kawaleryjskich nogach, skrzypiących wysokich butach, a nade wszystko w długim końskim obliczu - było coś takiego, co nieodparcie nasuwało skojarzenie z końmi.

Malarz ciężko westchnął i gestem pełnym rezygnacji sięgnął do kieszeni po swój szkicownik. Gospodyni miała rację. Powrót do domu odwlekał się na czas bliżej nie określony. Po chwili siedzieli już przy stole, słuchając wyczerpującego wykładu o tarpanach.

Kto miał szczęście zetknąć się osobiście z panem Gwizdałą, ten nie musiał już odbywać dwukilometrowej wędrówki przez las do rezerwatu dzikich koni. Z plastycznej opowieści instruktora tarpany wyłaniały się jak żywe. Rżały, kwiczały, kręciły zadami, stawały dęba, demonstrowały wszystkie swoje zalety. Były to koniki niewielkie, myszate, krótkowłose, podobne do irlandzkich kuców. Przez grzbiet biegła im czarna pręga - oznaka pradawnego gatunku.

Przed tysiącem lat, a może i dawniej, na niezmiernych stepach wschodniej Europy koczowały tabuny dzikich tarpanów. Znacznie później, w wieku XVII, nieliczne zachowane okazy tego gatunku odnajdowało się już tylko w zwierzyńcach polskich magnatów. Do racjonalnej hodowli zabrano się przed trzydziestu laty w rezerwacie białowieskim, ale przyszła wojna...

44

Różni ludzie różne mają do wojny pretensje. Dla instruktora Gwizdały jedną z największych zbrodni wojennych było zniszczenie hodowli tarpanów. Część dzikich koni wtedy wyginęła. Resztę wychytali chłopci, osławiając je potem i przyuczając do pracy w gospodarstwie. Teraz wykupione od chłopów nieliczne ocalałe okazy oraz ich potomstwo przywraca się do stanu pierwotnej dzikości. Chodzi o wyhodowanie dzikiego konia, odpornego na głód, chłód i najtrudniejsze warunki terenowe, a następnie o przeszczerpienie jego cech na całą rasę koni polskich.

- Zdziczenie tarpanów to trudna sprawa, moi panowie - grzmiał pan Gwizdała, tocząc rozognionym wzrokiem po słuchaczach. - Wychowasz takiego tarpana od źrebaka, poznasz jego wszystkie zalety i wady, przywiążesz się do niego jak do ludzkiej istoty, a potem puszczaj go w las - na chłód, głód i niebezpieczeństwa. Paszy mu wprawdzie dostarczasz, ale rozrzucasz ją po całym lesie i skrywasz pod stosami chrustu. A przecież nigdy nie ma pewności, czy tarpan jest już na tyle mądry i doświadczony, żeby się

sam do niej dobrał. Las ogradza się wprawdzie pałisada, ale w lesie nocą nie zawsze jest bezpiecznie. Szczególnie teraz, kiedy w okolicy pojawiły się wilki...

Instruktor urwał w pół zdania. W zielonym gąszczu za oknem zakotłowało się gwałtownie. Do pokoju wdarł się głośny okrzyk:

- Gwizdała, głupia pała!

45

Potem usłyszano urągliwy śmiech, trzask łamanych gałęzi i tupot uciekających nóg.

W pokoju zrobiło się bardzo cicho. Matka chłopców zerwała się z krzesła, lecz nie próbowała nawet biec do okna, gdyż na interwencję było już za późno. Malarz przerwał swe rysowanie i z nowym zainteresowaniem wpatrzył się w oblicze pana Gwizdały. Stary instruktor mocno poczerwieniał i zadyszał się jak w ciężkim ataku astmy. Ale trwało to krótko. Po chwili jego długa końska twarz odzyskała normalną barwę do brze wypalanej cegły.

- Nienawidzą mnie - powiedział zgaszonym głosem. - Sama pani inżynier pamięta, jak przedtem mnie lubili. Wprost trudno się było od nich opędzić. A teraz nienawidzą. Nie mogą darować, że puściłem Gwiazdzistego do lasu.

- Powiedźcie mi wreszcie, kto to jest ten Gwiazdzisty - zdenerwował się dziennikarz. - Ciągłe opowiadacie jakieś dziwne historie. Dzikie konie, tarpany, wilki, a teraz znowu ten Gwiazdzisty. Już po raz drugi słyszę dzisiaj to nazwisko.

- Gwiazdzisty to jeden z tarpanów - wtrąciła pośpiesznie gospodyni. - Najpiękniejszy tarpan z całej stadniny. Nazwano go Gwiazdzistym, bo ma na czole białą gwiazdę. Chłopcy za nim przepadali i mało się nie pochorowali ze zmartwienia, kiedy puszczono go do lasu na zdziczenie. Teraz, na domiar złego, pokazały się wilki... Trudno się dziwić, że się o niego niepokoją...

46

- Niepokoją się o niego! - wrzasnął z meoczekiwaną pasją pan Gwizdała, - Smarkacze się niepokoją, a stary Gwizdała nie! Bo Gwizdała ma gdzieś to wszystko, prawda?! Zrozumcie mnie dobrze, panowie, od czasu jak Gwiazdzistego puściłem do lasu, ani jednego dnia, ani jednej nocy nie mam spokoju. Na chwilę nie przestaję o nim myśleć. Ja tu - on w lesie, ale prowadzę go na odległość. Często ludzie

patrzają na mnie jak na głupiego, bo sam do siebie gadam. „Gwiaździsty - mówię - kosiu mój kochany, szukaj pod chrustem, szukaj, jak cię uczyłem. Nie zagłodziś się przecież. Nie zrobisz staremu instruktorowi takiego brzydkiego kawału." Nocą, bywa, budzi mnie nagle szarpnięcie serca. Wilki! Zrywam się z poscieli, chwytam za strzelbę i pędem na jezioro. Potem, stary wariat do świtu waruję w łódce przy tym samym brzegu, wypatrując wilczych oczu. Za to taka załata. Tylko smarkacze niepokoją się o Gwiaździstego, ja się o niego nie niepokoję. Tfu, krew może człowieka zalać!

Po wyrzuceniu z siebie całej nagromadzonej goryczy instruktor uspokoił się i głos mu złagodniał.

.- Zrozumcie mnie dobrze, panowie. Niełatwo jest eksperymentować na żywym stworzeniu, ale co robić! Chodzi o ulepszenie całego gatunku. Gwiaździsty musi się trochę pomęczyć dla dobra przyszłych pokoleń.

Surowa twarz instruktora zmiękła w uśmiechu.

- Za to kiedyś będzie sławny. Spisujemy tu z dnia na dzień dokładną kronikę jego leśnej edukacji i póź-

47

niej się ją wydrukuje w prawdziwej książce. Ó, mogą panowie zobaczyć,

Wstał z krzesła i kołysząc się na swych kawaleryjskich nogach, podszedł do regałów stojących pod ścianą. Wyjął z nich okazałych rozmiarów czarny brulion buchalteryjny i z nabożeństwem rozłożył go na stole.

•- Wszystko tu jest dokładnie zapisane, dzień po dniu, jak w uczniowskim dzienniku. Z początku dokarmialiśmy go wieczorami, żeby przejście na „własny chleb" nie odbyło się zbyt nagle. Ale już trzeciego dnia sam sobie wygrzebał paszę spod chrustu w czterech punktach, A siódmego dnia objadł doszczętnie wszystkie osiem schowków. Z tą chwilą weszliśmy w drugą fazę edukacji. Stopniowo zaczęliśmy zmniejszać ilość dostarczanej paszy, żeby zmusić go do dokarmiania się tym, co rośnie w lesie - na wzór prawdziwych leśnych zwierząt. I proszę! Gwiaździsty doskonale sobie radzi z samodzielnym dożywianiem. Za trzy, cztery tygodnie uniezależni się od nas całkowicie, stanie się prawdziwym leśnym tarpanem jak jego przodkowie. Tak, moi panowie, stary Gwizdała ma oko do tarpanów. Wiedziałem, którego można puścić do lasu.

Instruktor z satysfakcją zatarł ręce. Jego długie końskie oblicze promieniało radością i dumą.

Dziennikarz słuchał Gwizdały z niekłamany m zainteresowaniem. Dopiero teraz - kiedy należało już zbierać się do powrotu - zapalił się naprawdę do tar-

48

panów. Pochylił się nad buchalteryjną księgą S począł z niej skwapliwie przepisywać do swego notatnika pełną ankietę personalną Gwiaździstego, obiecując sobie, że powstanie z tego „szałowy” artykuł, od którego w redakcji „wszyscy zbledną”.

Natomiast malarza przydługiego wykład o tarpanach śmiertelnie znudził. Portrety gospodyni i instruktora [^] miał już gotowe w kieszeni, a z dziczyny interesowały go jedynie dzikie kaczkę. Na zdziczaniu tarpanów absolutnie mu nie zależało. Ponadto - jak już zaznaczaono wyżej -malarz bardzo nie lubił nocą pływać po jeziorze.

Nie'zdały się też na nic gorące namowy pana Gwizdały, aby goście „podskoczyli” jeszcze do zagrody tarpanów. Zapalony hodowca uzyskał jedynie to, że dziennikarz przyrzekł mu pod słowem honoru, iż w najbliższych dniach przyjedzie do leśnej stacji jeszcze raz, na specjalny reportaż o dzikich koniach i - oczywiście - o ich nauczycielu.

Pocieszony nieco tą obietnicą Gwizdała odprowadził gości do samego jeziora. Kiedy wsiadali już do łodzi, malarz przypomniał sobie nagle, że nie pożegnał się jeszcze z chłopcami.

Zaczęli się za nimi rozglądać po parku. Ale Wojtek i Maciek zawieruszyli się gdzieś w zaroślach i nawet nie śniło im się odpowiadać na gromkie pohukiwanie gości.

- Szkoda wołać, panowie -- powiedział niechętnie instruktor.- Ja tych smarkaczy znam. Naumyśl-

4 - Honorowy Jobuz

49

nie się schowali, bo wiedzą, że ja tu z panami jestem. Wszystko za tego tarpana. Niech tam... niech im będzie...

Jakby dla odegnania przykrew myśli o chłopcach

wskazał na przeciwległy brzeg, gdzie ciemny cypel

lasu wciną się w jezioro.

- Tam buja sobie nasz Gwiaździsty! Już tylko połowę paszy bierze od nas. Resztę zdobywa sobie sam.

Jeżeli szczęście wam dopisze, zobaczycie go, bo wieczorem schodzi do wodopoju^ A zobaczyć go warto. Drugiego takiego tarpana nie znajdzie się dzisiaj nigdzie na świecie. Na całym świecie - zrozumcie mnie dobrze, panowie!

Po odejściu od brzegu łódź płynęła przez pewien . czas w zupełnej ciszy. Malarz, zawzięcie wiosłując, obliczał z niepokojem, czy przed zapadnięciem mroku uda im się jeszcze przepłynąć przez wąską i zdradliwą cieśninę, łączącą dwa jeziora. Był wściekły na" dziennikarza za przedłużenie wizyty w leśnym domu i przyrzekł sobie w duchu, że nigdy więcej nie zabierze go z sobą na żadną wycieczkę.

Dziennikarz rozparł się wygodnie w tylnej części łodzi i podłożył ręce pod głowę, układał w myślach ^plan przyszłego artykułu do gazety.

Co za wspaniała, nieoczekiwana przygoda! Stary poetyczny dwór w jesiennym parku, a w ciemnym lesie na półwyspie niezwykły eksperyment naukowy. Galopuje dziki koń, podobny do mustanga z indiańskich opowieści. Budzą się w nim atawistyczne instynkty.

Powraca do życia sprzed tysiąca lat. Ha, żeby jeszcze tego Gwiazdzistego zobaczyć! ,
Dziennikarz rozmarzył się zupełnie.

- Pomyśl sobie, co taki zdziczały-koń musi przeżywać. Jeden Jack London potrafiłby to chyba opisać. ^Ale malarz nie był usposobiony do prowadzenia rozmów literacko-zoologicznych. Zerknął z ukosa na kolegę i rzekł zgryźliwie:

- Przygotuj no się lepiej do wiosłowania. No przewoźnika się do ciebie nie wynajmowałem.
'Dziennikarz zamilkł urażony, lecz uwagę malarza na temat wiosłowania puścił jakoś mimo uszu i nie wyciągnął z niej żadnych praktycznych konsekwencji. Między przyjaciółmi znowuzapadła napięta cisza.

Ale malarza także musiała korcić chęć zobaczenia Gwiazdzistego. W pewnej chwili, zapominając zupełnie o konieczności pośpiechu, pokierował łodzią tak, że zbliżyła się do zalesionego półwyspu, gdzie według informacji pana Gwizdały przebywać miał zdziczały tarpan.

Brzeg półwyspu był wysoki, stromy i przesłonięty dżunglą trzcin. Można było podptynać do niego zupełnie blisko, nie zwracając na siebie uwagi od stromy lasu.

Kiedy wjechali między trzciny, malarz odłożył wiosła

i zastąpił je długim drągiem „na pych”. Odpychana drągiem łódź sunęła wolno wzdłuż brzegu.

Dwaj przyjaciele przepasywali pilnie ciemniejącą ścianę lasu, czekając w napięciu na pojawienie się

tarpana.

Byli już przy samym cyplu półwyspu, gdy malarz nagle osadził łódź w miejscu i wymownym gestem nakazał towarzyszowi milczenie.

- Mamy go!

Z lasu nad ich głowami dobiegło rżenie konia.

- Jest tam, po drugiej stronie.

Z zachowaniem największej ostrożności okrażyli zalesiony cyfel i przepłynęli na drugą stronę półwyspu. Kiedy wyjrzeliby z przesyłony trzciny, znieruchomieli z

wrażenia.

Z tej strony las odchodził nieco od brzegu, tworząc

coś w rodzaju niewielkiej polanki opadającej łagodnie ku jezioru. Na skraju polanki suszył się odwróco-

ny do góry dnem kajak, a w niewielkiej odległości za kajakiem stał sobie najspokojniej... Gwiazdzisty.

Tak, to był Gwiazdzisty. Wyglądał dokładnie tak samo jak w opowiadaniu pana Gwizdały. Myszaty, niewielki, o grubej szyi, mocno zbudowany. Z daleka nie widać było wprawdzie czarnej pręgi na grzbiecie, lecz nawet bez tego w wyglądzie tarpana było coś takiego, co na pierwszy rzut oka pozwalało go odróżnić od zwykłego kuca. Ale najbardziej nieoczekiwane było to, że Gwiazdzisty nie był na polanie sam. Wokoło niego uwijały się dwie drobne postacie.

- Wojtek i Maciek! -
zdumiał się dziennikarz. -
A oni co tu robią?

Naraz pasażerowie łodzi
zrozumieli wszystko. Opano-
wała ich niepohamowana
wesołość. W błyskawicznym
skrótce przypomnieli sobie

czarną księgę bucha!teryjną, w której zapisywano
każdą miarkę paszy zjedzonej przez Gwiaździstego,
wszystko, co opowiadał pan Gwizdała o samodziel-
nym dożywianiu się tarpana - i... śmieli się coraz
bardziej. O Boże, cóż to za kapitalna historia! O bied-
ny, naiwny pan Gwizdała!

Było się z czego śmiać. Przed nimi, na zielonej
polance, stał "naukowo zdziczany" Gwiaździsty i ze
spokojem urągającym wszelkim naukowym ekspery-
mentom... dokarmiał się z rąk dwóch małych ło-
buzów chlebem i cukrem kradzionym ze srebrnej cu-
kiernicy.

W scenie rozgrywającej się na polanie rezerwatu
tyle było komizmu, a jednocześnie tyle niewysłowione-
go uroku, że malarz i dziennikarz nie mogli przez dłuż-
szą chwilę od niej oderwać oczu. Pierwszy otrząsnął
się dziennikarz. W jego obywatelskim sumieniu bu-
dził się niepokój.

- Słuchaj - powiedział szeptem do malarza. -
Jakoś głupio... Eksperyment naukowy, ważny dla pań-
stwa... A tu ci mali chuligani... Będziemy musieli w
to jakoś wkroczyć...

- Jak to: wkroczyć? - zdziwił się cichutko i bar-
dzo uprzejmie malarz. - Nie bardzo rozumiem dla-
czego...

I naraz tak gwałtownie odepchnął łódź od brzegu,
że dziennikarz o mało się nie przewrócił.

Kiedy byli już na środku jeziora, malarz wymienił
znowu drąg na wiosła i rzekł do dziennikarza:

- O co ci właściwie chodzi? Te tarpany nie zdzi-
czeją? Spokojna głowa, braciszku! To zdziczeją o
miesiąc później. Eksperyment nie eksperyment --,
chłopcy właśnie tacy powinni być; To także jest ważne
dla państwa. '.

Po czym malarz zabrał się energicznie do wiosło-
wania, bo na jeziorze zrobiło się już zupełnie ciemno.

ŚMIERĆ DON JUANA

Miałem wtedy czternaście lat, chodziłem do piątej klasy Gimnazjum Zgromadzenia Kupców miasta Łodzi i zbierałem znaczki pocztowe. Z tej właśnie przychyny bywał u mnie dość częstym gościem niejaki Karolak z Gimnazjum Miejskiego, zwany powszechnie "Spuchlakiem". Był to gruby, niesympatyczny chłopak i poza wspólną namiętnością do filatelistyki nie łączyło mnie z nim żadne cieplejsze uczucie.

Pewnego popołudnia - kiedy grzebaliśmy się jak zwykle w stosach kolorowych znaczków - Spuchlak zaskoczył mnie niebywałą nowiną.

- Ty, w sobotę będzie u nas gadać wiersze sam Tuwim. Przyjął zaproszenie jako dawny uczeń naszej

budy i przyjeżdża specjalnie z Warszawy. Pycha, nie? Wasi "kupcy" z pewnością się wściekną.

Ja byłem pierwszym „kupcem”, którego ta wiadomość ugodziła prosto w serce. Już od dłuższego czasu mój zapał filatelistyczny wyraźnie słabł pod szturmowym natarciem poezji. Było to wkrótce po ukazaniu się tomiku "Słowa we krwi" i cała sztubacka łódź modliła się do Tuwima. Uczyliśmy się na pamięć jego cudownych wierszy, na wół tylko je rozumiejąc. Pisał pod te wiersze nasze nieudolne rymy. A szkolne kółko literackie do którego należałem, zaczynało właśnie nieśmiało marzyć o spotkaniu ze sławnym poetą,

Tymczasem Gimnazjum Miejskie nas ubiegło, wykorzystując bezwstydnie swoje dawne stosunki z Tuwimem. Można się było wściec naprawdę.

- Słuchaj, Spuchlak - powiedziałem bardzo zdenerwowany - ja muszę być na tym wieczorze. Ty mi to jakoś urządzisz. ^

Ale Spuchlak roześmiał się tylko hałaśliwie i pokazał mi wielką figę.

- Nie ma mof-fy! Absolutystycznie wykluczone! Każdemu wolno zaprosić tylko jedną osobą, a ja już zaprosiłem Hankę. Zresztą wiesz, jak u nas nie lubią "kupców".

To była prawda. Od czasu kiedy wrzepiliśmy im w siatkówce piętnaście do dwóch, "kapiszony" - jak nazywaliśmy uczniów Gimnazjum Miejskiego - uważały nas za swoich największych wrogów. Ale czyż

można było liczyć się z podobnymi drobnostkami, wówczas gdy chodziło o usłyszenie samego Tuwima?

- Spuchlak, mój kochany - błagałem wyrzekając się resztek dumy osobistej. - Ty wiesz, że jesteś jedynym „kapiszonem”, którego szanuję i z którym się przyjaźnię. Z Hanką ja to załatwię, ona na pewno się zgodzi. To dobra dziewczyna, ale na poezji rozumie się tyle, co gęś na winogronach. A ja naprawdę muszę być na tym wieczorze i ty mnie tam wprowadzisz. Dam ci za to... co tylko zechcesz.

Wtedy ten łotr spojrział na mnie przeciągle, pomilczał przez chwilę, a potem rzekł: -'

- Phi, jak ci tak bardzo na tym zależy, to ostatecznie... Ale dasz mi za to... twoją zieloną "victorię".

Tylko prawdziwie zapaleni filateliści zdołają pojąć, co działo się we mnie po usłyszeniu tych strasznych słów. Maleńka zielona „victoria” była najcenniejszym znaczkiem mego zbioru i przedmiotem nieustannej zazdrości wszystkich znajomych filatelistów. Chroniona przed lepkimi palcami kolegów, spoczywała w specjalnej pergaminowej kopercie, przytwierdzonej do okładki albumu pięknymi kolorowymi pieczętkami. Pozwalałem ją oglądać tylko najbardziej zaufanym przyjaciółom. A teraz chciano mi wydrzeć mój skarb. -Stawiano wobec okrutnej alternatywy: albo zielona „victoria”, albo spotkanie z Tuwimem.

Spojrzełem w chłodne oczy Spuchlaka i zrozumiałem, że o żadnych targach nie może być mowy. Przez długą chwilę cierpiałem w milczeniu, szarpany sprze-

cznymi namiętnościami. Wreszcie namiętność szlachetniejsza zwyciężyła.

- Dobrze - jęknąłem z głębi rozdartego sercá - dam ci zieloną „victorię”, ale Bóg skarzę cię za moją krzywdę. - :

Po odejściu Spuchlaka z „victoria” poczułem się tak, jakby mi wyrwano bez znieczulenia kilka zębów. Okazało się jednak, że porcja wzruszeń jaką mi przypisano na ów dzień, nie była-jeszcze wyczerpana.

Wieczorem wrócił z biura ojciec. Był w doskonałym humorze. Ze spojrzeń, jakie rzucał w moją stronę, odgadłem od razu, że szykuje dla mnie jakąś niespodziankę.

- No, rozchmurz się wreszcie, mój zamyślony filozofie - powiedział wesoło ojciec. - Czekaj cię wkrótce mocne przeżycie. Do Łodzi przyjeżdża na gościnne występy wielki aktor polski Józef Węgrzyn, Będzie grał w "Don Juanie" Zorrilli. To jego popisowa rola i musisz ją zobaczyć. Udało mi się dostać dwa bilety na sobotę.

- Na sobotę!!! Gorący kartofel, który zamierzałem właśnie przełknąć, utkwiał mi w gardle i zacząłem się dławić. Dopiero kilka solidnych uderzeń w plecy ze strony zaniepokojonych domowników przywróciło mi oddech i mowę.

- Tato - zdołałem wreszcie wyjąkać - a o której... o której godzinie ten teatr się zaczyna? Ojciec przyjrzał mi się z uwagą.

- Sądzę, że jak wszystkie przedstawienia o ósmej. Ale widzę, mój chłopcze, że ty się zupełnie nie cieszysz. Czy może coś ci dolega?

Zapewniałem ojca, że szalenie się cieszę i że absolutnie nic mi nie dolega. Ale przygnębienie moje było tak widoczne, że w końcu zmuszono mnie do zażycia aspiryny i kazano iść do łóżka,

Aspiryna pomogła. Pod wpływem pierwszych potów odzyskałem utraconą równowagę ducha.

"Nie ma w tym wszystkim jeszcze tragedii - pomyślałem sobie. -Tuwim z Węgrzynem dadzą się jakoś pogodzić. Występ zapowiedziany jest na czwartą, więc skończy się najdalej o siódmej. Jak długo ostatecznie można mówić wiersze?"

60

Westchnąłem jeszcze róż na intencję zielonej „victorii” i jeszcze raz przekląłem w duchu bezwzględniego Spuchlaka, po czym - marząc o czekających mnie wzruszeniach artystycznych - spokojnie zasnąłem.

W sobotę już na kwadrans przed czwartą zasiadłem obok Spuchlaka w uroczyście udekorowanej sali Gimnazjum Miejskiego, wypełnionej tłumem wystrojonych "kapiszonów" i ich gości. Była to ta sama sala, w której przed dwoma tygodniami rozegrał się przy moim skromnym udziale zwycięski mecz siatkówki, i spojżenia "kapiszonów" kłuły mnie ze wszystkich stron jak zbójceckie noże. Czułem się dosyć niepewnie, gdyż byłem najgłębiej przekonany, że w razie jakiejś hecy Spuchlak jak Piłat najspokojniej umyje swe grube tapy i bez chwili wahania wyda mnie na pastwę wrogom.

Na szczęścia do żadnej hecy nie doszło. Punktual-

nie o czwartej cała sala zerwała się z miejsc i wybuchła powitalną wrzawą. Na mównicy ukazał się Julian Tuwim.

Poeta rozpoczął swój występ od rozkosznych wspomnień z lat szkolnych, które spędził w łódzkim gimnazjum. Otaczające mnie "kapiszony" pęczniały z dumy i z satysfakcji, a Spuchlak po każdej nowej anegdocie trzącał mnie boleśnie w bok, rzucając takie spojrzenia, jakby wszystko, o czym Tuwim opowiadał, było wyłącznie jego - Spuchlaka - zasługą.

61

Drobne te przykrości bardzo mi przeszkadzały w słuchaniu i uniemożliwiały pełne skupienie uwagi. Ale kiedy Tuwim zakończył wspomnienia z lat szkolnych i przeszedł do czytania swoich wierszy, w jednej chwili zapomniałem o nieprzyjaznej atmosferze obcej sali, o sąsiedztwie Spuchlaka i o zarozumiałych "kapiszonach". Całą duszą poddałem się czarowi poezji.

Było to naprawdę wspaniałe popołudnie i warto było dać za nie zieloną „victorię”. W żarze poezji roztopiła się nawet moja złość do Spuchlaka. Po ostatnim wierszu klaskałem tak mocno, że siedzący przede mną gospodarze odwracali głowy i poskromili mnie oburzonymi spojrzeniami, w których czytałem wyrażenie: „Czego tak hałasujesz, marny kupcze, przecież to z nami, a nie z tobą Tuwim chodził do jednej budy”.

Po recytacjach cała sala runęła do stolika Tuwima po autografy i dedykacje na książki. Mimo dość brutalnych sprzeciwów ze strony najzjadlejszych „kapiszonów” i ja - wraz z moim rzetelnie wyczytanym egzemplarzem "Słów we krwi", - docisną(em się do Poety. Kiedy wybałałem swoje nazwisko, Tuwim przyjrzał mi się uważnie i uśmiechnął się.

; - Ależ ja znam ojca kolegi. Proszę go ode mnie najserdeczniej pozdrowić.

Odszedłem od stolika półprzytomny ze szczęścia i dumy. Głowę otoczyła mi złota aureola sławy. Nie byłem już w tej sali obcym intruzem. Tuwim znał obojczyce mojego ojca i przesłał dla niego pozdrowienia. Hardym wzrokiem mierzyłem pozieleniałych z zazdrości

„kapiszonów”. Spuchlak demonstracyjnie objął mnie przyjacielskim ramieniem. Czułem na sobie spojrzenia obecnych na sali dziewcząt. Triumf mój był zupełny.

Ale naraz przez różową mgiełkę szczęścia przedarła się ostra myśl. „Pozdrowienia dla ojca? A przecież

ojciec czeka na mnie w tej chwili w domu z biletami na "Don Juana". O Boże, jak mogłem o tym zapomnieć!" Dopiero teraz spojrzałem na wiszący w sali zegar i zmartwiałem ze zgrozy. Była godzina ósma.

Na szczęście mieszkaliśmy wtedy na Przejeździe, tuż przy gmachu gimnazjum, i droga do domu, przebyta w szaleńczym tempie, nie zabrała mi wiele czasu. Już w kilka minut później - spocony jak po zażyciu pięciu aspiryn, z sercem bijącym jak dzwon na trwogę - pukałem do drzwi naszego mieszkania.

Otworzył mi sam ojciec. Był w ciemnym, wieczorowym ubraniu, gotów do wyjścia. Przywitał mnie takim spojrzeniem, że serce skoczyło mi do gardła.

- Tato - wydyszałem prawie z płaczem - bardzo przepraszam, ale tak się złożyło...

- Nie wysilaj się na wykręty - uciał sucho. - Pięknie odwdzięczasz się ojcu za to, że dba o twoje przyjemności. Będę miał nauczki na przyszłość. A teraz chodźmy!

Cóż miałem robić. Ze ściśniętym sercem i ze spuszczone głową powlokłem się za ojcem. Gdyby to wówczas zależało tylko ode mnie, chętnie bym w ogóle z tego "Don Juana" zrezygnował.

Zaraz po wyjściu z domu chwyciliśmy przejeżdżającą dorożkę i dzięki niej już w parę minut po wpół do dziewiątej znaleźliśmy się przed gmachem Teatru Polskiego przy ulicy Cegielnianej. Przez całą drogę ojciec nie odezwał się do mnie ani słowem.

W pustej poczekalni teatralnej światła już były przygaszone, a stąpający na palcach bileterzy obrzucali nas wzrokiem pełnym wyrzutu. Zza zamkniętych drzwi sal słychać było wyraźnie podniesione głosy aktorów.

Po długich naleganiach ojca starszy bileter zgodził się wpuścić nas na widownię - ale tylko na miejsca stojące, oddzielone od reszty sali czerwoną pluszową linką.

Drżąc z podniecenia wsunąłem się za ojcem w miękka, falującą od oddechów ciemność. Daleko

64

przed nami jarzyła się światłami i migotała kolorowym ruchem scena teatru.

Minęła dłuższa chwila, zanim zdażyłem się oswoić z nową sytuacją. Bezładny gwar płynący ze sceny zamienił się w zrozumiałe słowa i stopniowo zacząłem

pojmować sens rozgrywających się zdarzeń.

Scena przedstawiała karczmę w hiszpańskim mieście Sewilli. Kilku dostojnych, wspaniale wystrojonych panów zebrało się tam, by przywołać do opamiętania znanego sewilskiego zabijakę Don Juana Tenorio. Dwaj z tych jegomościów w pięknych i patetycznych słowach opisywali straszliwe zbrodnie Don Juana. Z boku sceny przy stole ktoś zamaskowany i szczelnie otulony czarną peleryną przysłuchiwał się temu w milczeniu.

Nagle wczepiłem kurczowo palce w pluszową taśmę, odgradzającą nas od miejsc siedzących. Od sceny uderzył we mnie potężny, srebrny głos - tak przedziwnie piękny, że serce szarpnęło mi się w piersi i zamarło z zachwytu. Zamaskowany człowiek, siedzący z boku sceny, zerwał z twarzy maskę i rzucał wyzwanie całemu światu:

" Co tylko się komu marzy

(W każdym zachceniu człowieczym,

' Don Juan zawsze się waży

? . Osiągnąć z/otem lub mieczem.

;, Rywali mając w pogardzie

' Ze świata całego drwi -

5 - Honorowy łobuz

65

Nikt mu nie rówien w hazardzie
Mi/ości, walki lub gry.'

Don Juan Węgrzyna w pierwszej rundzie powalił mnie knock-outem. Podobnie silnego wzruszenia artystycznego nie przeżywałem jeszcze nigdy. Moja czternastoletnia dusza zachwycona i oczarowana ięła u stóp obwiesia z Sewilli.

Po przerwie - w czasie której między ojcem a mną znowu nie padło ani jedno słowo - zajęliśmy nasze właściwe miejsca w trzecim rzędzie foteli.

Dopiero teraz mogłem się przyjrzeć Don Juanowi Tenorio z bliska. Jakże był piękny! Jego oczy błyszczały jak dwa wielkie czarne brylanty. Jego uśmiech łamał serca kobiet i druzgotał dumę mężczyzn. Ileż nieporównanego wdzięku kryto się w każdym jego zwinnym ruchu. Jakim wspaniałym gestem drapował się w swoją pelerynę z czarnego aksamitu.

Z tego, co działo się na scenie, wynikało niezbicie, że Don Juan był najgorszym chuliganem w całej Hiszpanii. Ale ja w to nie wierzyłem. Człowiek o takim głosie i o takim wyglądzie nie mógł być zły. Byłem najgłębiej przekonany, że wszystkie zbrodnie Don Juana wynikały jedynie z tragicznego zbiegu okoliczności.

Czułem głęboki żal do autora dramatu za jego bezzwrotny stosunek do swego bohatera. Uwielbiałem

* Przekład Stanisława Miłoszewskiego.
66

piękną Enez, bo ona jedna poza mną wierzyła w szlachetność Don Juana. Nie mogłem darować staremu Don Diego Tenorio, że tak łatwo potępił syna. Nienawidziłem wrogów Don Juana - starego posępnego Komandora i przeniewierczego rywala Don Luisa Mechija. Szczególną złość czułem do tego ostatniego. Tak się przypadkowo złożyło, że aktor grający Don Luisa był w jakiś sposób podobny do mego kolegi Spuchlaka. Ten fakt pogłębił jeszcze moją solidarność z Don Juanem Tenorio.

Doznawałem upajającej radości, kiedy w^ akcie czwartym dramatu Don Juan, otoczony przez wrogów, miażdżył Mechiję-Spuchiaka wspaniałymi słowami:

Człowieczy n o
Mizerny, tobie się troi,
Ze wzbudzisz buńczuczna mina
Postrach i że szpadfei twojej
- Błysk Don Juana nastraszy?
Na moJe imię i sławę
Klnę się, iż dawszy odprawę
Tamtemu, wnet mości waszej
Stanę...

\
A kiedy w chwilę potem Don Luis legł pod ciosem

szpady Don Juana, patrzyłem na tę śmierć chłodnymi oczami. Zasłużył sobie na nią stokrotnie. Nie tylko za intrygi przeciwko Don Juanowi. lecz i za moja

zieloną "victorię".

. W

Ale autor hiszpańskiego dramatu miał pogląd odmienny od mojego. Zabicie Komandora i Don Luisa Mechija dopełniło miary występków pięknego sewilskiego junaka. Don Juan ściągnął na swą głowę ostateczne potępienie, i właśnie wtedy wyszło na jaw, że nie myliłem się, wierząc w jego szlachetność. Bo Don Juan w głębi duszy był dobry, żałował swoich grze-

chów i chciał się z nich oczyścić. Tylko że autor dramatu nadal nie miał dla niego litości. W chwili gdy piękny bohater był już zupełnie zdecydowany na poprawę; i rozpoczęcie nowego życia, zły przypadek wpłatał go w dwa nowe pojedynki. Tej niesprawiedliwości było już za wiele i dla Don Juapa, i dla mnie. Razem podnieśliśmy zaciśnięte pięści ku niebu i razem zrzuciliśmy z siebie odpowiedzialność za dalszy rozwój dramatu:

Stukałem do nieba bram.
Lecz martwa cisza za niemi,
Więc za mój żywot na ziemi
Niech odpowiada Bóg sam...

Potem działały się już tylko rzeczy smutne i straszne. A kiedy Don Juan zniknął w otchłani grobu, wciągnięty tam przez ducha Komandora, zabrakło mi już sił dłużej patrzeć na scenę.

Byłem osłabiony i otępiały jak po ciężkiej chorobie.
W tym stanie ducha nie mogłem już dłużej unieść ciężaru milczenia, jakie zaległo między mną a ojcem. Chwyciłem rękaw ojcowskiego płaszcza i szepnąłem błagalnie:

- Nie gniewaj się już na mnie, tato. Ja naprawdę nie chciałem spóźnić się do teatru.

Ojciec wejrzał na chwilę w moje udręczone oczy, po czym rzekł poważnie:

- Nie gniewam się. Przykro mi tylko, że mój syn ma tak mało szacunku dla sztuki. Dla zobaczenia największego aktora polskiego nie potrafiłeś wyrzec się codziennych harców z kolegami, Tego nie mogę wprost zrozumieć.

- Wcale nie! - krzyknąłem oburzony tą jawną niesprawiedliwością. - Nie chodziło o żadne harce z kolegami. Spóźniłem się do teatru przez Tuwima. Byłem na jego wieczorze

poetyckim. Możesz to sprawdzić u Spuchlaka. Tuwim

kazał cię nawet pozdrowić.

Moje wyjaśnienie wyraźnie zaskoczyło ojca. Jego ton i spojrzenie stały się od razu cieplejsze.

- A więc nie harce z kolegami, tylko poważny konflikt o podłożu artystycznym? - powiedział w zamyśleniu. - Tak, to zmienia sytuację. Szkoda, że nie powiedziałeś mi o tym od razu. Z dwóch wielkich artystów dałeś więc pierwszeństwo poecie? Cóż, Tuwim wart Węgrzyna. Miałeś prawo wybierać...

Przez dłuższy czas szliśmy w milczeniu. Ale czułem, że ojciec nie powiedział jeszcze wszystkiego i pauza wynikała jedynie z tego, że szuka odpowiednich słów dla wyrażenia jakiejś myśli. Kiedy znajdowaliśmy się już niedaleko domu, podjął znowu przerwana rozmowę:

- Tak, Tuwim wart Węgrzyna, to oczywiste. Ale wieczór autorski wielkiego poety o występ wielkiego aktora to dwie zupełnie różne sprawy. Sztuka poety pozostaje w jego książkach, które mogą przetrwać wiele, wiele lat. Po aktorze nie zostaje nic. Sztuka wielkiego aktora jest jednorazowa i niepowtarzalna. Trwa tylko tak długo, jak długo brzmi w uszach publiczności. Pomyśl, synu, że ten wspaniały Don Juan, którego śmierć opłakałeś tak gorąco, umarł naprawdę i nie zobaczysz go już nigdy. Dlatego do teatru spóźniać się nie wolno. Rozumiesz? Nie wolno!

Od tej rozmowy upłynęło trzydzieści lat. Dwóch wielkich artystów, których słuchałem tamtego dnia,

nie ma już między żywymi, i teraz dopiero ujawnia się różnica, o której wtedy mówił mój ojciec. Na półce mojej biblioteki stoi kilka książek przechowujących w sobie wszystkie skarby poezji Juliana Tuwima. Natomiast srebrny głos Józefa Węgrzyna - głos, co huraganem przeszedł mi przez serce - zamilkł na zawsze. I tylko jego dalekie echo pobrzmiwa jeszcze w pamięci tych, którzy słyszeli go przed laty.

Jakże żałuję, że spóźniłem się wówczas na przedstawienie "Don Juana".

WIEWIÓRCZA R

Panu Dyrektorowi
Kazimierzowi Lisieckiemu
sławnemu "Dziadkowi"
ze Świdra

Pewnego wieczora u bramy podwarszawskiego Domu Dziecka rozległo się przeraźliwe dzwonięcie. Dyżurnym Domu był tego dnia mały grubasek, nazywany przez kolegów "Pulpetem". Na dźwięk dzwonka Pulpet niechętnie przerwał interesującą partię "ciupów" i pobrzękując uroczyście pękiem kluczy, bez pośpiechu, jak przystało na poważnego funkcjonariusza, ruszył na przyjęcie spóźnionych gości.

Przy furtce zastał trzech nieznanomych chłopców,

72

którzy nie spodobali mu się od pierwszego wejrzenia.

- W jakiej sprawie? - zapytał młody dyżurny siląc się na ton najbardziej urzędowy.

- Nie wygłupiaj się, ty beko tłuszczu, tylko prędzej otwieraj furtkę - krzyknął niegrzecznie pierwszy z trójki, wysoki chłopiec z jasną czupryną;

zaczesaną w fantazyjny bikiniarski lok - widzisz przecież, że czekamy.

- A właśnie, że nie otworzę - obraził się grubasek - o tej porze nie wpuszcza się do Zakładu obcych. Jeżeli nie powiecie, jaką macie sprawę, to będziecie stać przy furtce choćby przez całą noc.

Drugi, wyrostek o ciemnej, cygańskiej twarzy, pogroził dyżurnemu pię-

ścią.

^

- Poczekaj, serdelku, niech tylko wejdziemy do środka, to tak cię przerobimy, że tłuszczy z ciebie pocieknie.

Ale trzeci z towarzystwa, którego wielki, spiczasty nos i świdrujące spojrzenia wzbudziły w Pulpecie szczególną odrazę, uciszył kolegów .gestem ręki, po' czym bez słowa wy-

73

jął z kieszeni jakiś papier i przez siatkę furtki podsunął go pod sam nos dyżurnego.

Pulpet w najgłębszym skupieniu przesylabizował treść dokumentu i ciężko westchnął. Było to urzędowe skierowanie trzech nowych wychowanków do Domu Dziecka, wystawione przez Wojewódzki Wydział Opieki. Taki giejt otwierał wszystkie bramy-i nawet dyżurny nic nie mógł na to poradzić.

- Jak macie skierowanie, to trudno - powiedział z nie ukrywanym żalem - zaraz wam otworzę. Ale na przyszłość radzę wam zachowywać się grzeczniej.

Trzej nowi wychowankowie, wcale nie zmieszani tą uwagą, wkroczyli zwycięsko na teren Domu Dziecka, po czym spokojnie, odczekali, aż mały dyżurny uporał się z zamknięciem furtki. Kiedy to nastąpiło, wyrostek ze spiczastym nosem błyskawicznie uchwycił obiema rękami głowę Pulpeta i przycisnął ją z całej siły do guzików swojej bluzy.

- To na pamiątkę, koleś - powiedział moralizatorskim tonem - żebyś na przyszłość nie był taki wyszczekany w stosunku do starszych.

Po dłuższej chwili rozpaczliwego szamotania Pulpetowi udało się wyrwać z miażdżącego uścisku. Nos miał obolały i cały pokiereszowany przez ostre guziki. Od początku istnienia Domu Dziecka żadnego dyżurnego nie potraktowano w podobny sposób,

- Poczekaście - wydyszał mściwie - powiem

74

wszystko Dziadkowi. Już on wam da tak po uszach, że długo popamiętacie.

- Mamy w głębokim poważaniu twojego dziadka, babkę i całą bliższą i dalszą rodzinę- parsknął lekceważąco wyrostek z lokiem. - Możesz straszyć nimi swoje młodsze rodzeństwo. Jeżeli nie chcesz drugiego "syfona", to prowadź nas natychmiast do dyrektora Domu, słyszysz?

- Ach, jacy wy jesteście durnie!,-- powiedział z niezmierną pogardą mały dyżurny. - Przecież Dziadek to jest właśnie dyrektor Domu. Chybaście z księżycy spadli, jeżeli tego nie wiecie.

Po czym, melancholijnie pobrzękując kluczami i dotykając co chwila swego pohańbionego nosa, ruszył wraz z niesfornymi gośćmi na poszukiwanie zwierchnika.

Dyrektor Domu Dziecka przebywał w tym czasie w jednym z najdalszych punktów rozległego ogrodu. na małej polance tuż pod lasem. Jak zwykle o tej porze odbywała się tu wieczorna narada kierownictwa Domu Dziecka. Dyrektor - pięćdziesięcioletni mężczyzna o przedwcześnie posiwiałych włosach, którym zawdzięczał przydomek "Dziadka" - leżał na leżaku i rozkoszował się ciszą wieczoru po wszystkich trudach i hałasach dnia. Z dwóch stron dyrektorskiego leżaka na ogrodowych fotelach siedzieli najbliżsi współpracownicy Dziadka: jego małżonka, nazywana

75

przez wychowanków "Babką", oraz student Władzia - poważny młodzieniec, obdarzony przez naturę iście kozacką czupryną i wydatnym zezem, który na pierwszy rzut oka nadawał jego łagodnej twarzy pozór przesadnej surowości.

Władzia wychowywał się w Domu Dziecka od małego, a obecnie piastował odpowiedzialną funkcję przewodniczącego samorządu wychowanków i był prawą ręką Dziadka we wszystkich sprawach wychowawczych.

Głośnie dzwonienie przy wejściowej bramie usłyszano także na polance. "

- To pewnie ci trzej nowi z Warszawy, których zapowiedziano telefonem - domyślił się Dziadek. - Ma to być jakaś zgrana paczka i przypuszczam, że będzie z nimi trochę kłopotu. Ostatnio - jak mi mówiono - wykradli i spalili dziennik szkolny, a mają na sumieniu jeszcze inne sprawki. Będziesz musiał, Władziu, roztoczyć nad nimi specjalną opiekę. Słyszysz, kochaneczku?

- Zrobi się, Dziadku - odpowiedział bez entuzjazmu przewodniczący samorządu, - Warszawa mogłaby już przestać obdarzać nas podobnymi prezentami. Jak tylko z Warszawy, to z góry wiadomo, że ostatni chuligan. Pchc^^do nas najgorsze śmieci jak 1 do dziurawej, dziadowskiej torby.

- Nie przejmuj się tym, kochaneczku. Przysyłają do nas najgorszych, bo widocznie mają do nas zaufanie. Bądźmy więc sobie tą dziadowską, a raczej

dziadkową torbą. Albo to nam źle z tym? A co do tych śmieci... to bardzo nie lubię, kochaneczku, jak mówisz w ten sposób o chłopcach. Złych chłopców nie ma ani w Warszawie, ani gdzie indziej. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Bywają tylko chłopcy źle wychowani. Proszę cię, kochaneczku, żebyś o tym pamiętał.

- Ach, mój Boże! - wykrzyknęła nagle z przestraszeniem żona dyrektora. - Już wpół do ósmej, a ja zapomniałam nakarmić Wiewiórczaka!

To mówiąc wstała z fotela i poczęła wołać w stronę lasu:

- Wie-wiór-czak, hop! Wie-wiór-czak, hop!
Po wołaniu zapadła krótka cisza. Nagle zaszeleściło w gałęziach i z pnia wysokiej sosny chyżo zsunęło się na ziemię rude, zwinne zwierzątko. Na skraju polanki Wiewiórczak zatrzymał się i czarnymi, błyszczącymi ślepkami rozejrzał się czujnie na boki, potem kilkoma susami dopadł do ręki Babki i bez obawy chwycił przygotowany dla niego orzech. W ruchach zwierzątka tyle było lekkości, a jednocześnie komicznej powagi, że wszyscy musieli się uśmiechnąć.

- Widzisz - powiedział do studenta Dziadek - jak sobie chwali dziadkową torbę. A ty lękasz się, że nie damy sobie rady z trzema warszawskimi łobuzami. Więcej wiary w siebie, kochaneczku.

- Niech Dziadek da spokój - zawstydzził się student. - Ale tych nowych ancymonków jakoś długo nie widać.

Wiewiórczak. ogryzający ze smakiem orzeszki, nagie zaniepokoił się. Przerwał jedzenie i zastygł na chwilę w trwożnym oczekiwaniu. Potem odrzucił nie dojedzony orzech, zakręcił się w popłochu i uskoczył w stronę lasu.

- Zdaje mi się, że nadchodzą - powiedziała

Babka. - Nie rozumiem, dlaczego Wiewiórczak tak się przestraszył, na ogół przecież nie lęka się chłopców.

Zza zakrętu alejki wyszli trzej Nowi, eskortowani przez podnieconego Pulpeta, którego widok drosłych natchnął nową odwagą.

- Dziadku S - wołał już z daleka. - Przyjechali trzej z warszawskim skierowaniem i od razu się chuli-ganią! Pokaleczyli mi nos; niech Dziadek zobaczy. ,

Dziadek podniósł się z leżaka. Dopiero teraz przy-

bysze mogli stwierdzić, że dyrektor Domu Dziecka ma jedną nogę krótszą, wskutek czego silnie utyka.

- A więc to są ci nowi? No, witajcie, kochaneczku, witajcie. Podejdźcie bliżej, niech was sobie oglądam.

Gościnnie powitani chłopcy, idąc w stronę kierownika, wymieniali między sobą krótkie uwagi.
;- Jeden kulas, drugi zezowaty. Prawdziwy przytułek dla inwalidów, a nie Dom Dziecka - cedził przez zęby blondyn z lokiem.

- "Kochaneczku, kochaneczku" - przedrzeźniał ten podobny do Cygana. - Niech ja skonam, co za szopa!

- Długo nas tu trzymać nie będą, spokojna wasza czacha - mruknął z przekonaniem posiadacz spiczastego nosa.

- A więc tacy jesteście - mówił Dziadek wodząc uważnym spojrzeniem po twarzach trzech nowych wychowanków. - Cóż, chłopaki w dechę. Mam nadzieję, że staniemy się przyjaciółmi. Tylko o jedno was proszę: rączki z kieszeni wyjmijcie. Kto ma czyste ręce, nie musi ich chować, szczególnie gdy rozmawia ze starszym.

Chłopcy z ociąganiem spełnili polecenie dyrektora, ale ich twarze pozostały chłodne i obojętne. Po dłuższej chwili wzajemnych oględzin ten z nosem sięgnął do kieszeni i wyjął urzędowy dokument.

- Tu jest nasze skierowanie - powiedział opryskliwie - może pan sobie przeczytać. Dziadek żywo odsunął papier.

- Papierki na później, kochaneczku, na razie porozmawiajmy ze sobą jak mężczyźni. Chcę was uprzedzić, że życie tego Domu opiera się na dobrowolnej umowie wzajemnej lojalności. Jeżeli będziecie przestrzegać zasad ustalonych przez samorząd, będzie wam tu dobrze jak u mamy, w przeciwnym razie pójdziemy z sobą na udry, czego ja osobiście wam nie doradzam.

Chłopcy milczeli i trudno było dociec, czy słowa dyrektora w ogóle docierają do ich świadomości. Naraz Nowi ożywili się i całe ich zainteresowanie skupiło się w jednym punkcie. Na polanie ukazał się Wie-

wiórczak, zwierzątko zwalczyło widocznie pierwszy odruch strachu i teraz z przyzwoitej odległości przygadało się z zaciekawieniem ludziom.

- Słuchaj no, ty, rzuć ten kamień! - krzyknął nagle student Władzia. - Co ci zawiniła wieiórka?

Spiczastonpsy ze złością wypuścił z ręki kamień

i przesłał Władziowi takie spojrzenie, że studentowi zrobiło się gorąco. Dziadek udał, że nie zauważył tego incydentu, ale twarz mu spochmurniała.

- No cóż, chłopcy, idźcie teraz na kolację. Dyżurny was zaprowadzi, I proszę bardzo, odnoście się z większym szacunkiem do jego nosa. Lekceważenie dyżurnego jest w tym domu bardzo źle widziane. A jeżeli musicie się bić, to postaram się wam na jutro o przeciwników bardziej dopasowanych wiekiem i wagą. No, życzę wam teraz dobrego apetytu, kochaneczku. Jutro poznamy się z sobą bliżej.

- Jutro będzie futro - mruknął spiczastonosy tak głośno, że Dziadek nie mógł tego nie usłyszeć.

Trzem nowym wychowankom nie chciało się jednak czekać do następnego dnia i postanowili zaprezentować się Domowi Dziecka w całej okazałości jeszcze tego wieczoru. Zaraz po kolacji zaczęły do Dziadka napływać alarmujące meldunki.

Najpierw przybiegł rozgorączkowany Pulpet. Jego zaczerwieniony, pokierszowany nos znajdował się w stanie zdolnym wzbudzić litość w najtwardszym sercu.

- Dłużej nie mogę, Dziadku! - rozszlochał się

"nieszczęsny dyżurny. - Oni cały czas strasznie rozrabiają i ciągle mnie prześladują. Przy kolacji palili pod stołem papierosy, a potem sypali nam popiół do | zupy. A potem ten z nosem znowu zrobił mi "syfona", ly-u-u... a potem jeszcze raz, u-u-u... Niech Dziadek jspojrzy, jak wygląda mój nos, u-u-u...

•1 Później nadeszła ze skargami stara kucharka Wo-[^]siowa. Poczciwina, którą niełatwo było wyprowadzić aż równowagi, trzęsła się ze zdenerwowania.

- Niech pan dyrektor sobie załatwia, jak uważa, 'a ja przy tych chuliganach robić nie będę - oświadczyła stanowczo. - Od razu cały Dom postawili na głowie. Wszystko im złe, na wszystko podgrymaszają ;i ciągiem by człowieka obrażali. A wyraża się toto takim słowem, że stare uszy puchną. Ja tam nie mówię, dzieci jestem lubiąca, ale żeby to mnie Pan Bóg pokarał takim synem jak ci trzej, to albo bym go uto-
piła, albo bym sama we wodę skoczyła.

Studentowi Władziowi dostało się również. Na ścianie świetlicy pojawiła się wcale udana karykatura przewodniczącego samorządu z podpisem "zezowata

ofiara losu",

- Jak na pierwszy wieczór wcale nieźle - westchnął dyrektor. - Jeżeli tych chłopaczków nie okiełzam od razu i nie chwycę krótko przy cuglach, gotowi mi w dwa dni rozwalić cały dom.

Ale wieczorne wybryki hultajskiej trójki były jedynie wstępem do właściwej awantury, która rozegrała się w kilka godzin później.

W samym środku nocy Dziadka wyrwało ze snu uczucie ostrego niepokoju. "Coś się stato" - pomyślał siadając na tóżku. Wokoło była głucha, ciemna noc, obok spokojnie spała żona, ale dyrektor nie dał się zwieść tym pozorom. W ciągu trzydziestu lat pracy wychowawczej zdołał wykształcić w sobie instynkt, który jak radar ostrzegał go przed każdym niebezpieczeństwem - i ufał temu instynktowi na ślepo. Nie budząc żony, dyrektor ubrał się pośpiesznie i wyszedł do ciemnego ogrodu.

Instynkt go nie zawiódł. W głównym budynku, gdzie mieściły się sypialnie najmłodszych wychowanków, paliło się światło, a z otwartych okien dobiegały jakieś hałasy. Przy samym budynku dyrektor zderzył się z biegnącą postacią w bieli. Był to przerażony, na pół ubrany student Władzia.

- Widzi Dziadek, i co z takimi robić? Znowu wyprawiają hece.

Przystanęli pod oknem i zaczęli nasłuchiwać. W sypialni najmłodszych ktoś perorował donośnym, z lekka bełkotliwym głosem:

- Chce wam się spać, rebiata? Śmiejcie się z takich rzeczy. Spanie w nocy to stary przesąd burżuazyjny. Zaśpiewamy sobie teraz jakąś iadną piosenkę masową. No, już...

- To ten nosaty - szepnął student korzystając z chwilowej ciszy. - Na pewno popili sobie wody.

- Jak wam się nie podoba, hep... - podjął znowu głos na górze - to możecie się skarżyć później

waszemu staremu kulasowi albo tamtej zezowatej ofiermie. A teraz śpiewać, tylko szybko, no...

Z otwartego okna potoczył się grad brutalnych wyzwisk.

- Tego to już stanowczo za wiele - rozgniewał się dyrektor. - Ty, Władziu, kochaneczku, wracaj do siebie, bo twój obecny strój nie nadaje się do oficjalnych wystąpień. Ja sam sobie z nimi poradzę.

Kiedy Dziadek stanął w drzwiach sypialni, oczy jego uderzył niecodzienny widok. Sypialnia wyglądała jak wielkie pobojowisko, na którym stoczono zacieklą bitwę, w powietrzu unosiło się pierze z pościeli, na ziemi leżały przewracane stołki i dwa rozrzucone na części łóżka. Mieszkańcy sali stali stłoczeni w trwożnej gromadce, a trzech nowi siedzieli rozwaleni na sto-

83

się sienników i poduszek. Nosaty miał w ustach papierosa. Po oczach i rozczzerwionych twarzach trzech chłopców z tatwością można było poznać, że przypuszczenia Władzia były słuszne; musieli być po kilku kieliszkach. Na widok dyrektora malcy podnieśli ogłuszającą, zwycięską wrzawę, a sprawcy awantury stracili od razu cały tupet. Blondyn z łokiem i ten drugi, podobny do Cygana, poderwali się natychmiast z sienników i stanęli wyprostowani, w zupełnym pomieszaniu, nie wiedząc, co począć z własnymi rękami. Tylko Nosaty pozostał w poprzedniej pozycji i, nadrabiając miną, dalej ssał swego papierosa. Po wybuchu wrzawy zapadła przykra cisza. Wszyscy czekali na to, co powie dyrektor.

Dziadek utkwiał wzrok w twarzy Nosatego, jak gdyby | tylko jego jedyne dostrzegał na tej sali.

- Mówisz więc, że jestem stary kulas, co - rzekł wreszcie. - Masz rację, kocha neczku, temu nie da

się zaprzeczyć. Tak...

Spojrzenie Dziadka musiało być niełatwe do wytrzymania, bo Nosaty, zniewolony jego przemożną siłą (a, naraz odrzucił papierosa i, nie patrząc na nikogo, dźwignął się ociężale z siennika.

Dziadek nadal nie spuszczał oczu z jego twarzy.

- Ja jestem stary kulas, a wy jesteście młodzi, zdrowi, pełni energii chłopcy - powiedział w końcu. - Nie myślcie jednak, że pozwolę na to, aby cała wasza energia szła na zatruwanie życia młodszym kolegom. Mówisz, że spanie w nocy to stary, burżua-

zyjny przesąd? Zgoda. Niech będzie prze.sąd. Ale ja dla waszej energii znajdę lepsze zastosowanie niż

•^rządzenie burd po nocach. Zbierajcie się natych-
;1,miast i marsz ze mną do ogrodu.

1^ Blondyn i Cygan jednocześnie spojrzeli na Noso-
wego, jakby czekając na jego decyzję. Aie Nosaty stał
:milczący z wzrokiem wbitym w ziemię,

W chwilę później trzech młodzi awanturnicy masze-
"rowali wraz z dyrektorem przez aleje parku. Po przeje-
ęciu kilkudziesięciu metrów zatrzymali się przy minia-
łurowym placu budowy. Stała tu platforma wypełnio-
na po brzegi cegłami.

- Jesteśmy u celu podróży - oznajmił Dziadek. -
Patrzcie i podziwiajcie, kochaneczku. Nasza młodzież
stawia tu własnym wysiłkiem nowy kurnik dla swego
inwentarza. Te cegły mieli jutro wyładować chłopcy,
którym tak brutalnie zakłóciliście sen. Ponieważ dla
was sen jest tylko przesądem burżuazyjnym, wy za-
miast nich rozładujecie tę platformę. Wyładowywać
będziemy metodą }ańcuszkową. Takie energiczne zu-
chy jak wy załatwią się z tym w mig.

Oszołomieni chłopcy milczeli. Pierwszy ochłonał No-
saty.

- Myśmy przyjechali do Domu Dziecka, a nie do
obozu pracy - warknął zuchwale,
Teraz Dziadek po raz pierwszy podniósł głos.

- Ale nie przyjechaliście na robienie burd i drę-
czenie młodszych kolegów. Szkoda czasu na strzępie-
nie języka! Zbierajcie się do roboty!

Ostatnie słowa dyrektor wypowiedział tonem tak
ostrym, że Nowi, nie próbując już dalszego oporu,
ustawili się posłusznie w rząd i zabrali się do prze-
rzucania cegieł. Jako ostatni w łańcuchu stanął sam
Dziadek. Odbierał cegły z rąk Blondyna z lokiem,

a następnie układał je w kozły.

Początkowo przekazywanie cegieł odbywało się nie-
dbale i z częstymi zacięciami. Pierwszym ogniwem
łańcucha był Nosaty, który w sposób demonstracyjny
sabotował robotę i nie zwracał żadnej uwagi na po-
naglenia ze strony Dziadka.

- Jak sobie chcecie - wzruszył ramionami Dzia-
dek - w takim tempie będziemy rozładowywać do
rana.

Ale po pierwszym kwadransie w zachowaniu Nowych zaszedł nieoczekiwany zwrot. Tempo pracy poczęło rosnać z minuty na minutę. W opornych do-tychczas chłopców wstąpił jakiś diabeł. Przerzucanie cegieł stało się dla nich nagle wariacką, pasjonującą zabawą. Zwijali się jak w ukropie. Cegły śmigły .w powietrzu, nie dotykając prawie rąk. Co chwila któryś z podających odwracał głowę i drwiącym spojrzeniem kontrolował pracę Dziadka. A Dziadek z coraz większym wysiłkiem nadażat wariackiemu tempu. Jego pięćdziesięcioletnie serce waliło coraz mocniej.

Doświadczony wychowawca w lot pojął przyczynę tajemniczej zmiany w nastroju nowych wychowanków. "Chcą zmęczyć starego kulasa - pomyślał - chcą mnie zmusić do ustąpienia z placu" - i mimo coraz

86

większego zmęczenia Dziadek poweselał, bo młodzieńcze junactwo w chłopcach kochał nad wszystko w świecie, "No, stary kulasiu, pokaż, co potrafisz, kochaneczku" - powiedział sobie w duchu.

l pięćdziesięcioletni inwalida skupił wszystkie siły, aby wygrać tę dziwaczna walkę z trzema piętnastoletnimi wyrostkami.

Po godzinie wytężonej pracy chłopcy zaczęli wyraźnie puchnąć i Dziadek uznał, że dostali wystarczająco lekcję.

- Na dzisiaj dosyć, kochaneczku - rzekł wesoło - ale pamiętajcie, chłopcy, że roboty jest u nas mnóstwo, i ile razy tylko nie będziecie mogli zasnąć, zawsze chętnie wam służę swoim towarzystwem, A teraz marsz do łóżek.

Ale Nowi nie podjęli wesołego tonu opiekuna. Po podnieceniu walki opadł ich znowu ponury nastrój. Odwrócili się bez słowa pożegnania i ruszyli w stronę domu. Dziadek powoli poszedł za nimi. Naraz drgnął. Ciemny drobny kształt skoczył? mu na ramię i coś puszystego otarło się o ucho.

- Aa, Wiewiórczaki - zawołał Ucieszony. - Witaaj, kochaneczku! Ty także uważasz, że spanie w nocy jest burżuazyjnym przesądem?

Idący przodem chłopcy odwrócili się. Któryś z nich wybuchnął ordynarnym, obraźliwym śmiechem,

Ten mściwy śmiech ugodził Dziadka w serce. Zrozumiał, że walka, w którą włożył tyle sił, nie została jeszcze wygrana.

87

Ileż to już razy w ciągu trzydziestu lat swojej pracy wychowawczej staczał podobne walki?

Pod wpływem naporu wspomnień stary wychowawca zapragnął naraz, w środku tej trudnej, męczącej nocy, zajrzeć w głąb swej przeszłości. Opanowany przemożnym pragnieniem, przeszedł szybko przez zalany światłem księżycy ogród i wszedł do swego gabinetu.

. Na specjalnej półce stało tu obok siebie kilkanaście grubych albumów z fotografiami. Niecierpliwymi rękami zdejmował je kolejno z półki i rozkładał na biurku. Po chwili zatonął w nich całkowicie.

Być może, że obcy człowiek nie znalazłby w tych albumach dla siebie nic interesującego. Były w nich tylko fotografie chłopców. Na pierwszy rzut oka wszyscy byli do siebie podobni, 1 tamci z przedwojennej Bursy Dzieci Ulicy, i ci z Państwowego Domu Dziecka. 'Ale dla Dziadka w tych kilkunastu albumach mieściła się cała jego przeszłość, dzieło całego życia. Czułymi dłońmi przewracał wolno karty albumów, zatrzymując wzruszony wzrok na każdej fotografii i powtarzając.-w myśli zdrobniałe imiona.

Jak dobrze pamiętał tych wszystkich wychowanków. Byli wśród nich chłopcy łatwi i trudni, łagodni i zuchwali, prości i skomplikowani, niejeden z nich przy czynił się do tego, że włosy Dziadka posiwiały tak wcześniej. Ale ileż trudnej pracy, przemyślnych prób wychowawczych i splątanych wydarzeń kryło się za każdą z tych fotografii.

Dzisiaj wszyscy ci mali chłopcy są dorosłymi ludźmi. Ze wszystkich stron kraju, z całego szerokiego świata, nadchodzą do Dziadka listy od byłych wychowanków. Piszą do niego marynarze dalekich mórz, lotnicy, żołnierze ze strażnic pogranicznych, dyrektorzy przedsiębiorstw i prości rolnicy. Wszyscy ci dorośli ludzie zwierniają mu się ze swoich radości i kłopotów i jeszcze ciągle zasięgają rady starego wychowawcy. A niemal w każdym z tych listów trafia się takie zdanie: "Czy pamięta Dziadek tę dawną, bardzo dawną sprawę? Gdyby wówczas Dziadek nie podał mi pomocnej ręki, nie byłbym dzisiaj człowiekiem",

Tak, nie odmawiał im nigdy pomocy. Nie zawiódł żadnego z nich.

Ogromny, wyzwalający spokój spłynął na Dziadka z pożółkłych kart starych albumów z fotografiami.

Wzmocniony i odświeżony wstał od biurka i przeszedł do okna. Księżyc oświetlał jasno park i fasadę głównego budynku. Wychowawca odnalazł wzrokiem

okno sypialni Nowych.

"Iz wami wygram tę trudną wojnę - pomyślał - i wy kiedyś będziecie mi za to wdzięczni".

Następnego dnia rano -Babka wyjechała do Warszawy po zakupy. Wyjeżdżała pełna złych przeczuć. Niepokój żony udzielił się Dziadkowi. Przyczyniła się do tego w znacznym stopniu pogoda. Dzień był wy-

jątkowo męczący, upalny, działający na nerwy. Nad światem wisiała letnia burza i w dusznym powietrzu, nie wzruszonym najlżejszym powiewem, trudno było oddychać. Nawet w cienistym ogrodzie panował żar nie do wytrzymania. Wychowankowie snuli się po alejach osowiali i zdenerwowani. Z najbliższych powodów dochodziło do kłótni i awantur.

Ale kierownik Domu Dziecka wiedział, że jego niezrozumiały niepokój ma za przyczynę nie tylko warunki atmosferyczne. Wewnętrzny "radar" Dziadka znowu sygnalizował coś złego.

Po wyprawieniu Babki do Warszawy Dziadek nie mógł nigdzie znaleźć sobie miejsca. Kilka razy prze-wędrował cały rejon Domu, sprawdził stan robót przy budowie kurnika, przeszedł przez wszystkie sypialnie, zajrzał nawet do umywalni i kuchni. Wszędzie zasta-wał idealny porządek. Życie Domu toczyło się według ustalonych zasad. Nie było żadnych obiektywnych podstaw do zdenerwowania czy niepokoju.

Mimo to zdenerwowanie i niepokój nie chciały usta-pić.

W czasie wędrówek po parku Dziadek raz jeden zetknął się z Nowymi. Trzej kompani leżeli na trawie zasłonięci kępą krzaków przed oczami ciekawych i gorąco się o coś spierali. Ale rozmawiali tak cicho, że Dziadek nic z tej rozmowy nie zdołał usłyszeć. Na widok dyrektora zamilkli w pół słowa i, wbrew swoim uprzednim zwyczajom, grzecznie go pozdrowili. Kilka-
• naście minut później student Władzia, robiąc wielkie

90

oczy, zawiadomił Dziadka/ że Nowi zgłosili się ochot-niczko do pracy przy budowie kurnika.

Ale ta niezwykła odmiana w sposobie bycia chuli-gańskiej trójki, zamiast uspokoić dyrektora, jeszcze wzmogła jego niepokój. Zbyt dobrze pamiętał mściwy śmiech sprzed kilku godzin, aby mógł uwierzyć w tę nagłą poprawę.

- Oni coś knują - powiedział do studenta -
dałbym głowę za to, że chcą nas uraczyć jakimś
' psim figlem.

Ale przewodniczący zarządu nie podzielał obaw
dyrektora. Był przekonany, że Nowi skapitulowali po
nauczce udzielonej im poprzedniej nocy.

- Podźwigali trochę cegieł i od razu mina im
zrzędła - uśmiechnął się lekceważąco. - Te war-
szawskie chłoptasie to wszystko maminsynki. Można
było przewidzieć, że po pierwszej przegranej bitwie
wywieszą białą chorągiew.

- Obyś się nie mylił, kochaneczku! - westchnął
Dziadek. - Może ty masz rację, a ja histeryzuję. Sam

91

już nie wiem. Od tego przeklętego upału maści się
człowiekowi w głowie.

Oświecające słońce stało już na środku rozżarzone-
go nieba, kiedy dyrektor Domu Dziecka przypomniał
sobie, że żona przed wyjazdem prosiła go o nakar-
mienie Wiewiórczaka. Rozejrzał się za zwierzątkiem,
ale Wiewiórczaka nie było w żadnym z jego zwykłych
miejsz zabaw: ani przy budowie kurnika, ani przy na-
turalnej altanie z drzew, ani na polanie,

Zwrócił się więc w stronę lasu i ustalonym trybem
począł wywoływać swego najmniejszego wycho-
wanka;

- Wie-wiór-czak, hop! Wie-wiór-czak, hop!

Ale pomimo wielokrotnych nawoływań zwierzątko
nie wyszło z lasu.

Dyrektor zbyt nie przejął. Wiewiórczak
był szczególnie uprzewilejowanym wychowankiem Do-
mu Dziecka. Wolno mu było przepadać w lesie na-
wet na kilka dni i nikt się z tego powodu nie dziwił.

Zmęczony wędrówkami w upale -dyrektor podsu-
nął sobie leżak pod samą ścianę lasu, aby choć przez
chwilę wypocząć w chłodnym cieniu ulubionej polany.
Ale skoro tylko wyciągnął się na leżaku, natychmiast
zasnął.

Nie musiał spać długo, gdyż po przebudzeniu zo-
baczył, że słońce nie odeszło daleko od środka nie-
ba. Tak jak ubiegłej nocy, rozbudziło go ostre uczu-
cie niepokoju. Mrugając sklejonymi od gorąca i snu
powiekami. Dziadek zdał sobie sprawę z tego, że do

jego świadomości dociera jakiś drażniący odgłos ze wnętrznego świata. Z początku wydawało mu się, że to głos nieznanego ptaka. Ale stopniowo przytomniejąc pojął, że ten żaloszny przejmujący pisk dochodzi nie z powietrza, lecz z ziemi. Niecierpliwie począł się rozgłądać za jego przyczyną.

Pisk stawał się coraz żaloszniejszy i bardziej przejmujący, ale jego sprawcy nie można było dojrzeć. Musiał być ukryty gdzieś za leżakiem.

' Przejęty dziwną trwogą dyrektor zerwał się na nogi i gwałtownym szarpnięciem odsunął leżak. Na trawie - przewrócony na bok i zwinięty w dziwaczny kłębek - leżał Wiewiórczak.

Mały mieszkaniac lasu nie drgnął nawet na głos Dziadka. Był bezradny i głuchy na wszelkie wołania. Bezlitośnie okaleczony przywłókt się tu ostatnim wysiłkiem \ w tym śmiertelnym trudzie wyczerpała się cała jego energia. Leżał bez ruchu, cichutko piszcząc, i zamierającym spojrzeniem udręczonych oczu błagał o ratunek przyjaciela - człowieka.

Dziadek przesunął ręką wzdłuż grzbietu Wiewiórczaka. Pod palcami wyczuł przerażającą wklęsłość. Tu musiał ugodzić cios.

- Tak cię urządzili, biedaku - wyszeptał ze ściśniętym sercem.

Rudym kłębkim wstrząsnął dreszcz. Wiewiórczak wydał głośniejszy pisk i po raz ostatni spojrział na Dziadka. Potem zamilkł, oczy zaszyły mu bielmem i przestał cierpieć.

Dziadek wziął nieżywe zwierzątko na ręce i sam nie wiedząc, dlaczego to czyni, przeniósł je na środek polany.

W chwilę potem zdrętwiała ciszą Domu Dziecka

targnął łoskot alarmu. Dyrektor w zapamiętaniu bił młotkiem w żelazną szynę jak na pożar: Zbiórka na polanie. Wszyscy na polanę!

- Niespokojni, rozkrzyczani chłopcy zbiegli się ze wszystkich stron. Na polanie od razu milkli. Wiewiórczak był ulubieńcom całego Domu. Któż mógł nie lubić tego zwinnego zwierzątka. Najmłodsi wychowankowie z trudem wstrzymywali się od płaczu. Dopiero niedawno założyli specjalny Fundusz Dożywiania

Wiewiórczaka.

- To ci Nowi go zabili - krzyknął nienawistnie

mały Pulpet - ja wiem, że to oni!

Wszystkie spojrzenia skierowały się w stronę Nowych. Trzej chłopcy stali wyprostowani, bledsi może niż zwykle, ale na pozór obojętni. Przez wąskie wargi Nosatego przewinął się pogardliwy uśmiech.

- Nie jestem prokuratorem ani sędzią - powiedział Dziadek nie zwracając uwagi na okrzyk Pulpety - nie będę wszczynał żadnych dochodzeń ani wydawał żadnych wyroków. Nikogo nie schwytano na gorącym uczynku, więc nie rzucajmy oskarżeń, których nie potrafimy dowieść. Sprawę pozostawiam sumieniu winowajcy. Wierzę, że się przyzna. Będę na to czekał o każdej porze dnia i nocy.

Dziadek głęboko odetchnął i otarł pot z czoła.

- To wszystko, co chciałem wam powiedzieć. Wiórczaka zakopcie pod lasem, I proszę: nie mówcie o tym Babce. Możecie się rozejść.

Po rozejściu się wychowanków dyrektor odbył krótką rozmowę z przewodniczącym samorządu.

- Czeka nas, Władziu, ciężka próba wychowawcza. Jeżeli ci trzej sami nie zrozumieją ohydy swego czynu, zmarnują się zupełnie. Dzisiaj zabili wiórkę, jutro, kto wie, czy nie targną się na życie człowieka.

- Dziadku! - krzyknął porywczo wzburzony student. - Niech Dziadek z nimi się p;e cacka. Takich draniów nie zmiękcza żadne próby wychowawcze. Trzeba ich po prostu wyrzucić z Domu na zbity pysk, póki nie pomordują nas wszystkich.

- Niecierpliwym z ciebie wychowawca, Władziu -

rzeki Dziadek. - Przypomnę ci, kochaneczku, pewną starą historię z przeszłości tego Domu. Przed ośmiu laty przybył do nas chłopiec, który kłamał i kradł. Jego także chciano wyrzucić...

- Dziadku!... - zawołał błagalnie student, którego policzki pokryły się nagle ciemną czerwienią.

Dyrektor objął ramieniem swego pomocnika i przygarnął go do siebie.

- Sam widzisz, kochaneczku, że nie można zbyt łatwo rezygnować. Ci trzej muszą pozostać wśród nas. Muszą odczuć ciężar ogólnego potępienia i wstrętu. Takiego ciężaru nie wytrzyma żadne młode serce.

Wkrótce po tej rozmowie wychowawców nad Dom Dziecka nadciągnęła z dawna oczekiwana burza. Z nagłą ściemniałe niebo przeciął zygzak błyskawicy, zahuczał potoczysty grzmot i otwarły się upusty deszczu.

W kuchni stara Wosiowa żegnała się z zabobonnym lękiem.

- Słyszycie, już i Pan Bóg ma tego dosyć - mówiła do dyżurnych.

Jednocześnie z burzą przelewającą się po niebie w sypialni Domu Dziecka wzbierała burza sprawiedliwego gniewu. Z uroczystego pogrzebu Wiewiórczaka wszyscy wrócili ogromnie poruszeni. Śmierć ulubionego zwierzątka i okoliczności towarzyszące tej śmierci przejęły do głębi mieszkańców Domu. Dla nikogo nie było tajemnicą, kto zabił wiewiórkę, i podnieceni do

96

ostateczności chłopcy w żaden sposób nie mogli zrozumieć, dlaczego odwleka się moment sądu nad winnymi. Gniew przeciwko Nowym rósł coraz większy i w każdej chwili groził wybuchem. ^

- Dla nich wsio rawno: zwierzę czy człowiek - jątrzył kolegów mały Pulpet, tocząc się przez wszystkie sypialnie jak żywy pocisk zemsty. - Patrzcie, co zrobili z moim nosem.

I starsi chłopcy, którzy jeszcze wczoraj śmieli się z niepowodzeń nieszczęsnego dyżurnego, teraz z powagą badali każde zadraśnięcie na jego zmaltretowanym organie powonienia. Potem znowu przypomniano sobie Wiewiórczaka i coraz drapieżniejsze spojrzenia kierowały się w stronę małej sypialni, gdzie w całkowitym odosobnieniu - pilnie nad czymś radząc - siedzieli trzej Nowi.

Ale samorząd Domu Dziecka dawał na wszystko-
baczenie. Dyżurni - jak czujna straż ogniowa -
krażyli niezmordowanie między kolegami, zapobiega-
jąc wybuchowi pożaru.

- Dziadek zarządził, żeby nie było awantur. Muszą
sami się przyznać. Słyszycie: nie śmie być żadnych
drak!

Wzburzone młode serca buntowały się przeciwko
temu uspokajaniu, ale nikt nie odważył się otwarcie
przeciwstawić zarządzeniu Dziadka. Atmosfera sypial-
ni gęstniała od tłumionego gniewu i stawała się trud-
na do zniesienia. Mściwie szepczący chłopcy skupiali
się w kątach i pod ścianami. Podwieczorku nie jadł

7 - Honorowy łobuz

97

prawie nikt. Wosiowa uprzątnęła ze stołu całe stopy
nie tkniętych bułek z marmolado.

Przed wieczorem deszcz przestał padać i niebo roz-
pogodziło się. Z Warszawy powróciła Babka.

Powitanie z żoną była dla dyrektora ciężkim prze-
życiem. Dotychczas nie miał nigdy przed Babką
żadnych tajemnic. Teraz postanowił zataić przed nią
tragiczne i ważne wydarzenie z życia Domu. "Niech
lepiej myśli, że Wiewiórczak nas porzucił i odszedł do
lasu", i nie powiedział o przykrej sprawie ani słowa.
Babka instynktem wyczuwała, że w Domu musiało
zajść coś nieprzyjemnego. Ale ponieważ Dziadek mil-
czał, nie zadawała żadnych pytań. Inni mieszkańcy
Domu. posłuszni woli dyrektora, milczeli również. W
ten sposób nie dowiedziała się o niczym.

Tuż przed kolacją żona dyrektora narzuciła na sie-
bie płaszcz i poczęła szukać swoich kaloszy.

- Dokąd to? - spytał zdziwiony mąż.

- Muszę nakarmić Wiewiórczaka - odpowiedzia-
ła Babka. - Pewnie wygłodził się biedak w czasie

tego deszczu.

Dyrektor z trudem przełknął ślinę, ale nie rzekł nic.
Na tę najzwyczajszą, najprostszą ewentualność, że żo-
na zechce nakarmić wiewiórkę, zupełnie nie był przy-
gotowany.

A Babka poszła na polanę pod lasem.
Po parku rozbrzmiewało znajome, przeciągłe na-
woływanie;

- Wie-wiór-czak, hop! Wie-wiór-czak, hop!

Od tego wołania w całym Domu Dziecka zrobiło się straszno.

Chłopcy, goniący się po alejkach parku, przystawali z szeroko otwartymi ustami, jak rażeni prądem, a potem uciekali pędem w stronę domu. Inni, których wołanie dosięgło w sypialniach, kulili się w przerażeniu i zasłaniali poduszkami uszy.

A Babka wołała coraz głośniej i coraz przeciąglej:

- Wie-wiór-czak, hop! Wie-wiór-czak, hop!

W tym upartym przyzywaniu zwierzątka, które już nie żyło, było coś niesamowitego, okropnego, coś, od czego jeżyły się włosy.

Małemu Pulpetowi nerwy odmówiły posłuszeństwa.

Z nieartykułowanym krzykiem rzucił ślą w stronę Nowych. Na szczęście powstrzymali go w porę starsi koledzy.

Do Dziadka przybiegł student Władzia. Twarz przewodniczącego samorządu była blada ze zdenerwowania, a zez - wyraźniejszy niż zwykle.

- Dziadku - wyjąkał roztrzęsionym głosem - niech Babka już nie woła. Bo z pewnością stanie się coś złego. Ja dłużej nie utrzymam chłopców. Trzeba Babce powiedzieć...

Dyrektor wzruszył ramionami.

- Cóż jej powiem? A zresztą... chłopcy muszą przez to przejść.

Babka powróciła z polany rozczarowana.

- Nie dowalałam się Wiewiórczaka. Widocznie przed burzą uciekł gdzieś daleko.

Późnym wieczorem w Domu Dziecka wydarzyła się sensacja. Dwaj Nowi: ten z lokiem i ten podobny do Cygana, usiłowali uciec. Czujni dyżurni przychwycili ich w momencie, gdy dobierali się do tylnej furtki. O mało nie doszło do poważnej bójki, ale Nowi ulękli się przewagi aktywu domowego i zrezygnowali z oporu.

Nad Domem Dziecka zapadła noc. Ciężka, wypełniona niepokojem, pierwsza noc po zabiciu Wiewiórczaka. W sypialniach najmłodszych co chwila któryś

z malców budził się z przeraźliwym krzykiem. Wie-
wiórczak pojawiał się we wszystkich snach. Wesoły,
zwinny i przymilny łąsił się do swych przyjaciół z Do-
mu Dziecka. Ale oni w najweselszym momencie sen-

nej zabawy przypominali sobie nagle o śmierci zwie-
rzątka i budzili się z płaczem. Po przebudzeniu wszy-
stko wydawało się przerażające. Za oknami czaiły się
potworne cienie, spod łóżek straszyły żałosne piski
i tajemnicze szmery. Starsi koledzy uspokajali młod-
szych, ale sami także nie mogli zasnąć. W sypialni
Nowych przez całą noc toczyły się jakieś burzliwe
narady. Dyrektor Domu Dziecka tej nocy nie kładł
się wcale.

Krażąc po całym domu, co pewien czas przystawał
przed drzwiami sypialni Nowych i łowił czujnym u-
chem dobiegające stamtąd szmery. Czekał i... sam
poddawał się próbie najcięższej.

Rano Babka znowu wyszła na poszukiwanie Wie-
wiórczaka. Mąż i tym razem nie próbował jej od tego
odwieść.

Znowu rozbrzmiewało po parku przeciągłe nawoły-
wanie:

- Wie-wiór-czak, hop! Wie-wiór-czak, hop!
Dziadek zasiadł do swych zajęć, ale w żaden spo-
sób nie mógł się skupić nad porannymi rachunkami.
Niecierpliwe podniecenie napędzało mu krew do gło-
wy. Kolumny cyfr mieszały się i zamazywały przed
oczami, nie wychodziły mu najprostsze nawet działa-
nia. Jeszcze przez chwilę dyrektor próbował zmusić
się do pracy. Potem z trzaskiem zamknął książkę bu-
cha !teryjną i wyszedł w ślad za żoną.

W alejce prowadzącej na polanę natknął się na
zacząjonego studenta. Przewodniczący samorządu do-

mowego nie zauważył w pierwszej chwili zbliżającego
się zwierzchnika, tak był zapatrzony w pobliską kępę
krzewów, która stanowiła ulubioną, kryjówkę chłopców. •

- Oni tam są, wybiegli zaraz po pierwszym woła-
niu Babki - wyszeptał z przejęciem - strasznie byli
na siebie rozżarci, mogą się pobić na śmierć. Trzeba

będzie wkroczyć.

Ciepła radość zalała serce Dziadka. "A więc jed-
nak".

Starając się zachowywać jak najciszej, podeszli do

kępy krzaków. W zielonej gęstwinie rozgrywał się

ostatni akt dramatu. Coś się tam kotłowało, szamotało i przewalało. Słyszać było stłumiony zgiełk zadyszanych głosów.

Usłyszeli głos Nosatego, jakże różny od tego z ubiegłej nocy.

- Nie pójdę- dyszał ciężko Nosaty - ja tam nie mogę iść.

- Pójdiesz - odpowiedział mu inny głos, zawzięty i nienawistny. - Zawlecemy cię siłą, a pójdiesz!

- Ty draniu, wszystko przez ciebie!

Od polany znowu dobiegło nagłałe wołanie:

- Wie-wiór-czak, hop! Wie-wiór-czak, hop!
W krzakach zapadła na chwilę cisza,
- O rany! - stęknął ktoś rozpaczliwie.

Szamotanie i gwar wybuchły ze zdwojoną mocą.
Rozległ się trzask łamanych gałęzi.

W chwili gdy Babka zamierzała ponownie zawołać na Wiewiórczaka, na polanę wpadło trzech rozjuszo-

nych chłopców. Nieprzytomni z podniecenia Blondyn i Cygan wlekli za sobą opierałacego się Nosatego.

- Niech pani nie woła! - krzyknął Blondyn, któremu misterny lok zagubił się w rozwianych włosach. - Niech Dani przestanie!

Cygan potrząsał tylko wściekle głowa, nie mogąc wykrztusić słowa. Jego ciemne policzki lśniły od potu.

Pchnęli Nosatego tak mocno, że upadł Babce do nóg.

- To on! To przez niego!...

Potem odwrócili się

od Bobki i zaczęli pędem uciekać w kierunku otwartej bramy wyjściowej.

Ale dostęp do bramy był już odcięty. Zewsząd zbiegali się mieszkańcy

Domu. Przybywało ich coraz więcej. Zastępowali drogę uciekającym. Zagarniali ich ze wszystkich stron.

Babka stała w miejscu jak porażona, póki nie poczuła na ramieniu ręki męża.

- Chodź, kochaneczku - powiedział cicho Dziadek. - Wiewiórczak już nie przyjdzie. Trzeba się zająć tymi chłopcami.

I kuszykając bardziej niż zwykle, pociągnął za sobą żonę w kierunku skłębionego, rozwrzeszczanego tłumu młodzieży.

HONOROWY ŁOBUZ

Tego popołudnia Dziadek był nie w humorze. Siedział przy biurku obłożony ze wszystkich stron księgami buchalteryjnymi, które jako dyrektor Domu Dziecka prowadzić musiał, a których nie znosił jak mali chłopcy rycyny. Pocił się nad kolumnami cyfr i z coraz większą irytacją skubał swój siwy wąsik. Kiedy zaproponowałem mu nieśmiało opowiedzenie jakiejś ciekawej historii z życia zakładu, zawarczał jak nakręcony bąk. , ' 1 ^

- A dajże mi spokój, panie święty! Historyjek mu się zachciało... Chcesz pan pisać książki, to siadaj obok mnie - pomożesz mi pisać książki buchalteryjne. Do innych nie mam głowy. Widzi pan przecież, że z wychowawców robią teraz buchalterów na amen, Przez te przekłete papierzyska nie mam czasu na najważniejsze sprawy wychowawcze, a ten mi tu z histo-

ryjkami... 7reszta i tak nic bym panu nie opowiedział, bo wy, literaci, wszystko przekręcacie... Czytałem niedawno teao pańskiego... hm... "Wiewiórczoka"... Teraz z kolei ja poczułem się dotknięty.

- Bardzo Dziadka przepraszam, ale w moim opowiadaniu "Wiewiórczak" nie było ani słowa nieprawdy, Całe zdarzenie opisałem dokładnie, jak mi Dziadek je oowiedział.

- Tereferę, niech mnie pan tu dziadkowaniem nie czaruje. Przedstawi? mnie pan w onowiadaniu jako kulasa inwalidę, tak czy nie? A każdy może stwierdzić, ?e to nieprawda.

Dla udokumentowania swoich słów dyrektor wysunął nogi spod biurka i zademonstrował je w całej okazałości.

- Rzeczywiście, sam nie wiem, jak te się stało, że Dziadek w opowiadaniu wyszedł na inwalidę. Jakoś tak się napisało, a później trudno lu* było zmieniać.

- Trudno było zmieniać' - zachichota? szatańsko Dziadek. - Dla pana oczywiście byłoby łatwiej, że- bym ja przystosował się do pańskieąo opowiadania 5 naprawdę został inwalida8

Milczałem zawstydzony. Zdawało mi się, że nawet bohater mego opowiadania, Wiewiórcza^ który stał wypchany na biurku dyrektora, spogigdał na mnie z wyrzutem.

- Nic panu nie opowiem, i basta - przypieczę- tował ostatecznie sprawę nieugięty dyrektor - może pan schować notatnik i obejść się smakiem.

m

Cóż miałem począć. Wiedziałem, że uporu starego wychowawcy nie przełamie. Zamknąłem więc z ciężkim sercem mój reporterski notes i zbierałem się już do odejścia - gdy naraz otwarły się gwałtownie drzwi i do pokoju wpadł nasz stary znajomy, Pulpet.

- A to co znowu?! - zagrzemiał Dziadek. - Od kiedy to wchodzi się do pokoju dyrektora bez pukania? Oto proszę, co dzieje się z dyscyplino w zakładzie, kiedy wychowawcy toną po uszy w papierach.

- Bardzo przepraszam, Dziadku - tłumaczył się zdyszany Pulpet - ale chodzi o ważną, sprawę.

Ze sprawa była ważna, w to nie wątpiłem. W podwarszawskim Domu Dziecka większość spraw załatwiał kolektyw wychowanków. Do dyrektora przycho-

dzono tylko z najważniejszymi.

- No, to wywalaj na stół, coście tam znowu naknociiii - powiedział już łagodniej Dziadek. - Możesz mówić przy panu redaktorze. Z Wiewiórczakłem wprawdzie trochę pokręcił, ale na ogół źle nam chyba nie życzy,

Pulpet zmierzył mnie krytycznym spojrzeniem, jakby sprawdzając opinię Dziadka, po czym podszedł do biurka i szepnął z przejęciem:

- Dziadku, nakryliśmy Bociana! Znowu orzyno chłopaków! Grają w... Klubie Pickwicka. "

Dyrektor odsunął od siebie wykazy buchalteryjne. Widać było, że nowina bardzo go obeszła. Jego różowe policzki poczerwieniały, a siwy wąsik nastroszył się niebezpiecznie.

107

- Chciał pan historii z życia Domu Dziecka? - zwrócił się do mnie. - Proszę, ma pan typową historyjkę. Taki Bocian! Ile ten chłopak mi zawdzięcza! Wyciągnąłem go z najokropniejszych warunków domowych, przyjąłem do zakładu mimo sprzeciwu Wydziału Oświaty. Teraz mam za to zapłatę. Od tygodnia ogrywa mi chłopców w karty, zabiera im wszystkie pieniądze. Zaczęły się już nawet kradzieże. Ale dość tego dobrego! Tym razem mu nie przepuszczę. Wola boska i skrzypce!

Dyrektor wstał i zapiął marynarkę ruchem tak bojowym, jakby przypasaował do boku karzący miecz. Głos jego zabrzmiał jak hasło do ataku.

- Redaktorze, idziemy!

Przed domem czekało już na nas kilku rozgorączkowanych aktywistów, zmobilizowanych przez Pulpetę. Na policzkach mieli wypieki i ze zdenerwowania przestępowali z nogi na nogę. W powietrzu wyczuwało się nastrój "draki w wielkim stylu".

Klub Pickwicka od głównego budynku dzieliła odległość niespełna stu metrów. Cały ten klub był nędzną szopą z desek, w której przechowywano narzędzia gospodarstwa ogrodniczego. Swoją dickensowską nazwę zawdzięczał okoliczności, że wieczorami chłopcy schodzili się tam na nielegalne palenie papierosów. Drzwi szopy otwierali wytrychem, a potem całymi godzinami przesiadywali w zadymionym wnętrzu przy migotliwym płomyku kaganka bądź zupełnie po ciemku. Uchodziło to za piekielnie romantyczne spę-

108

dzanie czasu. Raz nawet próbowali urządzić seans spirytystyczny z talerzykiem, lecz zamiast oczekiwanego ducha zjawił się niespodziewanie student Władzia i cała sprawa zakończyła się dość kompromitująco, bo z wielkim strachem dla obu stron.

Teraz Klub Pickwicka nabierał nowej złowrogiej treści. Był meliną od dawna tropionych przestępców. Podchodziliśmy więc do niego milczkiem, czujnie rozsypani w bojowej tyralierze - według klasycznych zasad indiańskich podchodów.

Ale po osiągnięciu drzwi szopy okazało się, że wszystkie te ostrożności były zupełnie niepotrzebne. Złoczyńcy z karygodną lekkomyślnością zapomnieli o ubezpieczeniu swej kryjówki i nie zadali sobie nawet tyle trudu, żeby wytrychem zamknąć za sobą drzwi. Wystarczyło, że Dziadek lekko nacisnął klamkę, a wejście do Klubu Pickwicka stanęło przed nami otworem. Wstrzymując oddech w piersiach i stąpając na palcach, wkroczyliśmy w wyłom zdobytej twierdzy.

Przez dłuższą chwilę staliśmy w progu, rozkoszując się niezwykłością sytuacji.

Graczy w "oczko" było czterech. Siedzieli na odwróconych wiaderkach po marmoladzie wokoło starej skrzyni, zastępującej im stół. Wszyscy tak byli pochłonięci swymi ciemnymi sprawami, że żaden z nich nie dosłyszał naszego cichego wejścia.

Od pierwszego spojrzenia można było poznać, że główną osobą w całym tym towarzystwie był szczupły wyrostek o bladej cwaniackiej twarzy i osobliwym czu-

109

bie szarych włosów, wystrzelających prostopadle znad niskiego czoła. Domyśliłem się w nim od razu owego Bociana, o którym mówił Dziadek. Leżała przed nim kupa bilonu i drobnych banknotów - prawdopodobnie cała gotówka, jaka była w grze, bo pozostali gracze sprawiali wrażenie doszczętnie oskubanych z pieniędzy. Ostatni akt karcianego dramatu musiał się rozegrać zupełnie niedawno, gdyż w chwili naszego wkroczenia Bocian był jeszcze zajęty liczeniem wygranej, a jeden z oskubanych partnerów domagał się płacząco rewanżu.

- Nie bądź draniem. Bocian, i pozwól stuknąć jeszcze raz po banku - jęczał oskubany - jak Boga tego! Jutro ci oddam wszystko. No, Bocian, bądź człowiekiem, jeden, jedyny razik,

Ale ludzkie uczucia nie miały w tej chwili dostępu do serca Bociana. Nie przerywając liczenia pieniędzy

potentat karciany uśmiechnął się pogardliwie.

- Masz monetę - gramy dalej, nie masz monety, szoruj do świetlicy na ping-ponga. Oczko to gra na gotówkę. Udzielisz kredytu, stracisz klienta. Komprensne wu '? Wola boska i skrzypce.

- Ja ci dam wolę boską i skrzypce! - huknął od progu Dziadek, którego musiało szczególnie zdenerwować to, że Bocian przywłaszczył sobie jego ulubione powiedzonko. - Popatrzcie tylko, co za górny ton, co za lordowskie fasony! Można by pomyśleć, że

• Komprensne wu? (z franc.) - Rozumu pan t
110

rzecz dzieje się nie w naszym Klubie Pickwicka, ale w londyńskim Jockey-Club. Ogromnie mi się podobasz dnia dzisiejszego, Bociani

Na dźwięk głosu dyrektora w Klubie Pickwicka zakotłowało się. Najbardziej przestraszyli się trzej oskuluni, chociaż na dobrą sprawę ich strach był najmniej uzasadniony, gdyż i tak nie mieli już nic do stracenia.

Natomiast Bocian, który miał do stracenia wiele, zaimponował mi swoją zimną krwią. Nie ruszył się z miejsca i nie próbował zgarnąć pieniędzy ze skrzyni. Z lekka poblady, aie ironicznie uśmiechnięty czekał na dalszy rozwój wydarzeń, wytrzymując odważnie gniewne spojrzenie Dziadka.

A Dziadek - trzeba przyznać - zachowywał się dość dziwnie. Podszedł do improwizowanego stołu karcianego, siadł na wiaderku po marmoladzie opuszczonym przez jednego ze spłoszonych graczy. Potem zebrał karty leżące na skrzyni i machinalnie zaczął je tasować, nie spuszczać przy tym ani na chwilę oczu z Bociana. Siwy wąsik jeżył mu się coraz groźniej.

- No dobrze, Bocianku - .rzekł na koniec. - Z tymi trzema dałeś sobie radę na medal. Ale dla takiego praktyka jak ty to żadna sztuka ogrywać nowi-

CJUSZÓW. Teraz, kochaneczku, czeka cię trudniejsze zadanie, bo zagrasz... ze mną.

Dyrektor wyjął z kieszeni portfel i ostentacyjnie położył przed sobą na skrzyni kilkanaście dwuzłotówek

111

i pięciozłotówek. Uprzejmym gestem podsunął Bocianowi karty.

- Bądź łaskaw pociągnąć, kochaneczku. Wyższa trzyma bank.

Teraz nawet Bocian nie potrafił ukryć wrażenia i wstydliwie odwrócił wzrok od kart.

- Kiedy nie wolno - wymamrotał z wysiłkiem i - nie wolno nam grać.

- Trzymajcie mnie - zawołał Dziadek - trzymajcie, bo pękne ze śmiechu! Oto jest Bocian, obrońca praworządności! Powiada, że nie wolno grać. Za późno, kochaneczku, trzeba było być praworządnym od początku. Teraz musisz ciągnąć kartę!

Bocian wzruszył ramionami i wyprostował się na swoim prowizorycznym stołku. Złym spojrzeniem obrzucił Dziadka.

- Jak ciągnąć, to ciągnąć - mruknął. - Tylko żeby potem nie było na mnie.

Rozpoczęła się gra. Otoczyliśmy grających ciasnym kołem. Podobnych spotkań nie ogląda się często. "Co by to było - pomyślałem sobie - gdyby tak zjawił się tu naczelnik Chwościk z Wydziału Oświaty albo dyrektor Bambuła z Ministerstwa. Od dawna starają się wszelkimi siłami skompromitować metody wychowawcze Dziadka, Teraz mieliby w rękach taki dowód. Dyrektor Domu Dziecka gra z wychowankiem w karty o pieniądze. To by dopiero był skandal!"

Początkowo gra toczyła się ze zmiennym szczęściem. Raz wygrywał dyrektor, raz Bocian. Zręcznie

112

rozdawane karty padały z szelestem na deski improwizowanego stołu. Gracze porozumiewali się dziwnym językiem, zrozumiałym tylko dla wtajemniczonych.

- Po banku!

- No, to trrach!

- Kartę?

- Sobie!

- Fura!

- Oczko!

- Fura!

- Różnij, Walenty, Bóg się rodź}!

I tak w kółko.

Ale "Bóg jest zawsze po stronie silniejszych batalionów!" - jak stwierdził niegdyś pewien ukoronowany wódz. W karty wygrywa ten, kto ma silniejsze nerwy i więcej pieniędzy. Stopniowo szczęście coraz

8 - Honorowy łobuz

113

wyraźniej poczęło się odwracać od Bociana. Leżący przed nim stosik pieniędzy mała? w przerażającym tempie. Wyniosty, ironiczny spokój niedawnego zwycięzcy rozwiął się bez śladu. Uszy poczerwieniały mu ze zdenerwowania, głos zachrypł, ręce zaczęły się pocić i obrzydliwie drzeć. Po każdej nowej przegranej Bocian z rozpaczą zagryzał wargi i tak gwałtownie szarpał swego wspaniałego jeża, jakby na zawsze chciał się pozbyć tej osobliwej ozdoby. A Dziadek nic. tylko wygrywał i wygrywał, ruszając przy tym wąsikami jak pan Wołodyjowski podczas pojedynku z Bohunem.

Wreszcie nastąpił pogrom ostateczny. Bocianowi zabrakło pieniędzy do gry. Daremnie zaglądał w szpary skrzyni, pod wiaderko, na którym siedział, daremnie wywracał podszewkę kieszeni badając, czy nie ukrył się gdzieś zapomniany pieniądz. Nie było nic... Przegrał wszystko.

Bogaty, niezwyknięty Bocian skończył się. Pod ciężarem szyderczych spojrzeń kolegów opuścił głowę i w milczeniu czekał na wyrok Dziadka.

- Mówiłeś, że "oczko" to gra o pieniądze, jeżeli dobrze sobie przypominam - powiedział dyrektor. - Święta racja, kochaneczku. Mimo to daję ci ostatnio szansę odegrania się. - Tu Dziadek uczynił dłuższą przerwę, aby słowa jego dotarły do świadomości wszystkich słuchaczy. - Raz jeden możesz zagrać bez pieniędzy - na słowo. Ale oczywiście o specjalną stawkę. Wygrasz - zabierasz pieniądze i gramy da-

lej. Przegrasz - zobowiązesz się pod słowem honoru, że już nigdy więcej nie będziesz grać w karty w zakładzie. Wola boska i skrzypce. Zgadzasz się?

Bocian wczepił palce w swego jeża. Stawka była nie byle jaka, ale chęć odegrania się jeszcze silniejsza.

- Dobrze. Zgadzam się. Gramy!

Dziadek szybko rozdał karty i zaraz odkrył sobie dwa asy. Oskubani wydali zgodny okrzyk radości. Było to "oko" - najwyższa karta w grze.

- Przegrałeś, Bocianku. Mam nadzieję, że nie zapomnisz o swoim honorowym zobowiązaniu. Z kartami koniec, na teraz i na zawsze.

Dziadek zgarnął wszystkie pieniądze rozrzucone na blacie improwizowanego stołu i ułożył je w jeden porządkowy stos.

- A teraz podział łupów. Najpierw zaspokojenie pretensji bezpośrednio poszkodowanych. Nie zasłużyli wprawdzie na to. Ale ostatecznie raz jeden każdy może zbadzić.

Trzej oskubani, nie wierząc jeszcze własnemu szczęściu, zgłosili wysokość swoich udziałów w przegranej i natychmiast uzyskali zwrot wszystkich pieniędzy. Dziadek powiedział im tylko;

- Mam nadzieję, że w przyszłości nie będziecie już takimi frajerami, żeby własne, z trudem zdobyte grosze wpychać na siłę do cudzej kieszeni. Ja, w każdym razie, więcej za was odgrywać się nie będę.

Po zaspokojeniu oskubanych na skrzyni pozostało

jeszcze spora kupka pieniędzy. Byliśmy ogromnie ciekawi, co dyrektor uczyni z tą zasadniczo częścią wygranej.

- To są pieniądze wygrane od Bociana - odpowiedział Dziadek na nasze pytające spojrzenia. - Ponieważ nie pochodzą ani z pracy, ani z przesyłek domowych, więc mamy prawo przypuszczać, że i one zostały wyduszone z łatwowiernych kolegów za pomocą kart. Pytam was, co należy zrobić z pieniędzmi pochodzącymi z wyzysku kolegi przez kolegę?

- Trzeba je skonfiskować!

- Albo wpłacić na fundusz Samopomocy Koleżeń-
skiej!

- Albo kupić za nie coś pożytecznego dla Sekcji
Sportowej!

Dziadek ruchem ręki uciszył gwar.

"^

- Zgadzam się na konfiskatę - nie zgadzam się na Samopomoc ani na Sekcję Sportową. Na to istnieją specjalne fundusze. Uważam, że dzisiejszy gorzki dzień powinniśmy zakończyć na słodko. Proponu-

ję, żeby za te pieniądze kupić po prostu ciastka.

- Brawo, ciastka! - krzyknęli wszyscy. - Niech żyją ciastka!

- Niech żyje Dziadek!

- Sto lat!

Ale wtedy nastąpiło coś, czego nikt się nie spodziewał.

Dyrektor zwrócił się do Bociana i rzekł spokojnym głosem:

- Weź te pieniądze, kochaneczku, i skocz do cukierni po ciastka. Po dwa na głowę, 1 nie zapomnij o panu redaktorze!

W Klubie Pickwicka zawrzało od protestów. Chłopcy przekrzykiwali się jeden przez drugiego:

- Niech Dziadek nie posyła Bociana!

- On na pewno nie wróci!

- Pieniądze pójdą na stracenie. Szkoda tylko ciastek!

- Po co ma wracać, jak 'nie może grać w karty!

- Dla niego uciec to tyle co mucha!

Bocian stał ze spuszczoną głową i nie ruszając się z miejsca, łypał spode łba to na kolegów, to na Dziadka. Gdyby nie obecność tego ostatniego, między chłopcami doszłoby na pewno do ostrego starcia.

-Nie sądzę, aby Bocian chciał robić balonów z ludzi, którzy mu zaufali - powiedział Dziadek. - Honorowy łobuz nie postępuje tak nigdy.

Chłopcy pokręcili sceptycznie głowami, ale Dziadkowi trudno się było sprzeciwić. Wśród wrogiej cichy szyderczo uśmiechnięty Bocian zgarnął ze skrzyni pieniądze i wyszedł z baraku, demonstracyjnie trzasnąwszy drzwiami.

- Nie wróci - zgodnie orzekli chłopcy - pewne jak w PKO, że nie wróci. Szkoda tylko tych ciastek.

Pulpet, który miał skłonność do rozważań zasadniczych, zainteresował się ostatnimi słowami dyrektora.

- Dziadku, a czy łobuz w ogóle może być honorowy?

-- Może - być - odpowiedział żywo Dziadek. -
Pewnie, że może być! Ha, jeszcze jak może być! O
jednym takim mógłbym wam nawet opowiedzieć. Na-
zywał się Pazur... Ale to długa historia...

- Niech Dziadek opowie! - zaczęli prosić chłop-
cy. - Mamy przecież czas. Wróci Bocian czy nie wró-
ci - i tak trzeba na ciacha trochę poczekać.

- Ha, jeżeli chcecie... - zgodził się Dziadek zer-
kając ironicznie w stronę mego otwartego notatni-
ka - tylko... przypilnujcie pana redaktora, żeby zno-
wu nie zrobił ze mnie kulasa.

- Historia ta pochodzi z zamierzchłej przedhisto-
rycznej epoki, kiedy nie nazywano mnie jeszcze
Dziadkiem - rozpoczął swoje opowiadanie dyrek-
tor. - Pracowałem wtedy w Warszawie jako kierow-
nik pierwszego Ogniska wychowawczego, zorganizo-
wanego przez Towarzystwo Przyjaciół Dzieci Ulicy dla
młodocianych gazeciarzy warszawskich.

Mali sprzedawcy gazet to była jedna z osobliwo-
ści przedwojennej Warszawy. Ich przeciągłe nawoły-
wania budziły warszawiaków do pracy i kołysały ich
do snu. Stolica lubiła swoich gazeciarzy. Chlubiła
się ich dzielnością i sprytem, śmiała się z ich humo-
ru - ale nie dbała o nich wcale. Ci młodzi, nierzad-
ko zupełnie mali chłopcy byli skazani na surowe, bez-
nadziejne bytowanie uczniów. Życie ich biegło mię-

118

dzy ulicą a ciemną, wilgotną suteroną. Żywili się
okruchami ciast i okrawkami wędlin sprzedawanymi
im z łaski w wielkich ciastkarniach i wędliniarniach.

Zimą odmrażali sobie ręce i uszy, i nosy. Ponieważ
nie mieli ciepłych ubrań, jedyną ich obroną przed
zimnem była wódka. Byli stale zakatarzeni i ochryp-
nięci. Dziesiątkowa? a ich gruźlica.

Placówka Towarzystwa Przyjaciół Dzieci Ulicy stała
się dla tych chłopców prawdziwym dobrodziejstwem.
Mogli tam w świetle i ciepło odpoczywać po pracy,
grywać w szachy i w warcaby, zajmować się !ekturą
oraz za minimalną optatą spożywać normalne gorą-
ce posiłki. Ale nie od razu odnieśli się do Ogniska
z zaufaniem. Początkowo raziło ich i onieśmiewało
jasne oświetlenie naszej salki klubowej, a ich żołąd-
ki, karmione od lat tylko okruchami i okrawkami, bun-
towały się przeciwko pełnowartościowym posiłkom
naszej kuchni. Stopniowo jednak udało nam się prze-
łamać te początkowe opory i Ognisko poczęło zdoby-
wać coraz więcej przysięgłych zwolenników. Wtedy to
pojawił się na widowni Pazur.

Pamiętam jak dziś - siedziałem właśnie w/ kantor-
ku, głowiąc się, skąd wydostać pieniądze na dalsze
prowadzenie zakładu - kiedy przybiegł do mnie je-
den z naszych stałych bywalców, pełniący tego dnia
dyżur przy szachach, i bardzo zdenerwowany oświad-
czył, że "przyszedł Pazur i próbuje rozrabiać".

Nazwisko Pazur niewiele mi powiedziało, ale z to-
nu mego informatora odgadłem, że chodzi o osobę

119

znaczna, ciesząc się wielkim miem w środowisku
gazeciarskim. Nie wdając się więc w dłuższe koro-
wody, udałem się na powitanie gościa.

W salce klubowej zastałem chłopysia mniej więcej
szesnastoletniego, o powierzchowności nie zachęca-
jącej bynajmniej do spotkań w ciemnej ulicy. Pazur
przywitał mnie z czapką na głowie i z rękami w kie-
szeniach. Kiedy zaproponowałem mu grzecznie zdję-
cie czapki, odpowiedział tak ordynarnie, że nawet
mnie, doświadczonego wychowawcę, po prostu zatka-
ło. W pierwszej chwili doznałem gwałtownej 'chętki,
żeby usadzić/ tego łobuziaka, jak na to zasługiwał,
ale zwyciężyły względy natury wyższej. Stali bywalcy
Ogniska patrzyli na Pazura z takim respektem, iż
utwierdziłem się w przekonaniu, że mam do czynie-
nia z jednym z „atamanów” światka gazeciarskiego.
'Narażenie się takiej osobistości mogło fatalnie za-
ciężać na frekwencji zakładu, a do tego za nic nie
chciałem dopuścić. "Wola boska i skrzypce - pomy-
ślałem sobie - nerwy trzeba poskromić, a tego ga-
gatka za wszelką cenę ugłaskać i zdobyć dla naszej
sprawy. Hejże z góry na Pazury!"

Nie powiem, żeby to zwycięstwo łatwo mi przyszło,
ale już po pierwszym spotkaniu Pazur rozstał się z nd-
mi w nastroju jakby mniej wojowniczym i szyderczym,
przysięgając jeszcze powrócić. Później zachodził czę-
sto, a przy trzeciej czy czwartej wizycie odkryłem u
niego zamiłowanie do rzeźby w drzewie. Od tej chwi-
li wszystko poszło jak po naoliwieniu. Zacząłem mu

120

podsuwać lipowe klocki,
narzędzia, interesujące
książki. Z czasem przylgnął
do Ogniska jak inni gaze-
ciarze. Okazało się', że
chłopiec jest zrobiony z
dobrego materiału, tylko
straszliwie pokancerowany
przez życie. Od niemowla-
ka wychowywał się na uli-

cy, rodziców swoich zupełnie nie znał, mając osiem lat biegał już z gazetami, a jako chłopiec szesnastoletni znał na wylot wszystkie drażliwe tajemnice wielkiego miasta i wódę ciągnął jak stary.

Ta nieszczęsna skłonność do alkoholu doprowadziła wkrótce do poważnego konfliktu. Pewnego popołudnia w czasie mej nieobecności Pazur przyszedł do Ogniska zupełnie pijany, wywołał piekielną awanturę i uderzył w twarz naszego instruktora bibliotecznego;

Jak stwierdziłem później,

spoliczkowany instruktor nie był bez winy, gdyż on sam niewłaściwym zachowaniem sprowokował popędliwego gazeciarza. Niemniej Pazur karę ponieść musiał, choćby za samo pijaństwo. Wezwałem go na rozmowę w cztery oczy i dałem mu do wyboru: albo przestanie pić, albo fora z Ogniska raz na zawsze. Przyznaję, iż nie bardzo wierzyłem w skuteczność tej groźby, ale na samą wzmiankę o wypędzeniu ze świetlicy w oczach gazeciarza pojawiło się takie przerażenie, że jakoś nabrałem otuchy. Warunki postawiłem ciężkie. Musiał mi dać słowo honoru, że zupełnie wyrzeknie się alkoholu. Zgodziłem się tylko na jeden wyjątek. Kiedy już w żaden sposób nie będzie mógł wytrzymać w abstynencji, przyjdzie do mnie i napije się w moim towarzystwie.

Pazur długo się namyślał, długo walczył z sobą, wreszcie warunki przyjął. I - wierście lub nie - przestał pić naprawdę. Całe jego zachowanie uległo widocznej zmianie, rzadziej zachodził do Ogniska, sposępniał jakoś, na mnie się boczył, jakbym wyrządził mu ciężką krzywdę - ale pić przestał.

Początkowo przypuszczałem, że mnie oszukuje i pije po kryjomu poza Ogniskiem. Kiedyś zapytałem go wręcz: "No, jak tam. Pazur, pociągasz sobie od czasu do czasu?" Ludzie, żebyście wiedzieli, jak on wtedy na mnie spojrzał! Tyle w tym spojrzeniu było wyrzutu [obrażonej dumy, że zaczerwieniłem się jak maty chłopiec. "Jak to - powiedział - przecież dałem panu słowo honoru! Więc jak mogę pić?"

Tak, to był naprawdę honorowy łobuz. Szkoda gadać!

W jakiś miesiąc później - było to w samym środku wyjątkowo surowej zimy, w styczniu czy w lutym - rozbudziło mnie w nocy gwałtowne dzwonienie. Zrywam się z łóżka, narzucam szlafrok, otwieram drzwi - za drzwiami stoi Pazur. Ale w jakim stanie! Zmarznięty na kość, twarz zielona, uszy i nos fioletowe. Przez dłuższą, chwilę szczykał zębami, nie będąc w stanie wydobyć z siebie dźwięku. Potem wymamlał: "Panie kierowniku, dłużej już nie wytrzymam, niech mnie parł zwolni z tego słowa!" Byłem na taką ewentualność przygotowany i wszystko odbyło się jak należy. Zaprowadziłem go do pokoju, posadziłem przy piecu, upichciłem naprędce jajecznicę i wyciągnąłem butelczynę. "Pij, Pazur, święte twoje prawo!"

Ta osobliwa uczta nocna nie przeciągnęła się długo. Pazur nie był przyzwyczajony do picia w podobnych warunkach i czuł się potwornie skrępowany. Po trzecim kieliszku uciekł bez słowa. Wiedziałem, że więcej już do mnie na wódkę nie przyjdzie.

I rzeczywiście: nie wyłamał się już ze swego słowa aż do końca - aż do owej pamiętnej wiosennej niedzieli...

W pierwszą pogodną niedzielę wiosny zorganizowałem dla stałyck bywalców Ogniska wycieczkę za miasto. Jedna z honorowych opiekunek naszego zakładu, pani M,, zaprosiła nas na obiad do swojej willi w podwarszawskim letnisku. Była to staruszka wielkiej

zacności i dobroci, odznaczająca się niezwykle czułym stosunkiem do upośledzonych dzieci ulicy. Trzeba było widzieć, jak ta czcigodna inatrona powitała moich obszarpanych dryblasów, jak każdego z nich gładziła po włosach, jak składała na ich czołach macierzyńskie pocałunki. Chłopaki zapomnieli języka w gębie, ale widać było, jak ich to powitanie chwyciło za serce.

Obiad upłynął nam w prawdziwie rodzinnej atmosferze, a po obiedzie poszliśmy oglądać wiejskie cuda. Dla was oczywiście nie byłoby tam wiele do oglądania, ale dla tych małych gazeciarzy, nie wychylających przez cały boży rok nosa z miasta, zwykły spacer przez las i pola był wyprawą w krainę bajki,

Kiedy zbliżała się już godzina powrotu do miasta, zauważyłem nagle, że Pazur... znikł. Tknięty jakimś przecuciem, nie mówiąc nic chłopcom, sam ruszyłem na jego poszukiwanie. Przeszukałem wzdłuż i wszerz lasek rozciągający się tuż za wioską - Pazura nie ma. Zeszedłem niżej na brzeg rzeczki - Pazura nie ma. Dopiero kiedy mijałem starą, spróchniałą wierzbę otoczoną krzakami malin, dobiegł mnie jakiś odgłos - ni to jęk, ni szloch. Rozchyliłem gałęzie i co widzę - mój Pazur wtulony w dziuplę wierzby, z twarzą załamana łzami, cały rozdygotany od wielkiego płaczu. "Panie kierowniku -" beczy mi w kamizelkę - mnie jeszcze nigdy nikt nie całował w czoło, nikt mnie nie gładził po włosach, nikt mnie nie trak-

tował jak człowieka. Szmaciarzem byłem, tachudra byłem - to pan zrobił ze mnie człowieka. Ja panu za to przysięgam, że będzie pan miał ze mnie pociechę. Ze nigdy panu nie sprawię najmniejszego wstydu". Staliśmy tak pod tą wierzbą objęci ramionami przez dobre dziesięć minut. Nieczęsto się zdarzają w trudnej, niewdzięcznej pracy wychowawcy tak piękne i wzruszające momenty.

Drogę powrotną do stacji odbyliśmy w niezwykle podniosłym nastroju. Snuliśmy rozległe plany na temat następnych wycieczek. Ale plany jak to plany...

Na stacji nadzialiśmy się na pospolitą pijacką awanturę. Jakiś pijany brutal bił kobietę. Pazur skoczył jak ryś, zanim zdążyłem go powstrzymać. Był bardzo silny. Jednym uderzeniem pięści obalił brutala na ziemię. Zrobił się wielki gwałt. Nadbiegli dwaj policjanci. Wtedy, jak zwykle bywa w podobnych wypadkach, brutal natychmiast pogodził się ze swoją ofiarą i wspólnie oskarżyli Pazura o napaść. Policjanci nie chcieli nawet ze mną gadać. Szamotali się z półprzytomnym Pazurem i siłą ciągnęli go na posterunek. Cóż było robić? Wola boska i skrzypce! Pociąg nie czekał, chłopców trzeba było odwieźć do Warszawy. Musiałem zostawić biedaka na podmiejskim posterunku policji. Pomyślcie tylko: takie żałosne zakończenie tak pięknego dnia.

Natychmiast po przyjeździe do Warszawy zawiadomiłem o całej sprawie znajomego sędziego sądu dla nieletnich. Był to wypróbowany przyjaciel Ogniska i

zgodził się bezzwłocznie sprowadzić Pazura do miasta. Nazajutrz rano pojechaliśmy razem do stołecznej Izby Zatrzymań, aby chłopca odebrać. Wprowadzono nas

zaraz do pokoju, gdzie przebywał pod strażą dwóch policjantów, którzy przywieźli go z podmiejskiego posterunku. Musiał im dobrze dać się we znaki, bo całą twarz miał posiniaczono i spuchnięto. Lecz ja z góry przebaczyłem mu wszystko. Bo podczas pamiętnego spotkania pod wierzbą przejrzałem tego chłopca na wskroś i uwierzyłem w niego bez zastrzeżeń. Nie mogłem doczekać się chwili, kiedy będę go mógł znów uściskać i zabrać ze sobą do Ogniska.

Ale Pazur o tym nie wiedział. Tragedia polegała na tym, że Pazur nie miał pojęcia, w jakim nastroju po niego przychodzę. Pamiętał tylko swoje niedawne przysięgi, swoje zapewnienia, że już nigdy więcej nie zrobi nam wstydu ani przykrości. Był przekonany, że najciężej jak można zawiódł nasze zaufanie, i wstydził się okropnie.

Kiedy spostrzegł mnie w drzwiach, twarz mu pobladła i skurczyła się z przerażenia. Nagłym szarpnięciem wyrwał się policjantom i skoczył ku otwartemu oknu. Nie zdążyłem jeszcze krzyknąć, gdy było już po wszystkim. Uciekł przede mną! Wyskoczył z pierwszego piętra na ulicę. Tylko warszawskiemu gazeciarzowi mogła się udać taka ucieczka z gmachu policji. Pazur był warszawskim gazeciarem całą gębą. Udało mu się uciec i nie zobaczyłem go już nigdy.

Szukałem go później przez wiele miesięcy po całej

127

Warszawie. Wypytywałem się o niego w redakcjach i w kioskach "Ruchu", dawałem nawet ogłoszenia do gazet. Wszystko na próżno. Zaginął po nim wszelki ślad. Musiał widocznie zmienić nazwisko lub przenieść się do innego miasta. Starąłem się dowiedzieć czegoś od gazeciarzy przychodzących do Ogniska, ale nie chcieli mi nic powiedzieć. Może nie wiedzieli naprawdę, może zmuszał ich do milczenia lęk przed gazeciarskim "atamanem".

Tak więc Pazur z własnej woli odciął się na zawsze od nas, których uważał za swoich przyjaciół, i od Ogniska, w którym spędził najlepsze chwile swego życia. Sam uznał się za winnego i sam sobie wymierzył tę najdotkliwszą z kar. Był to honorowy łobuz. Najbardziej honorowy ze wszystkich łobuzów, jakich znałem w życiu.

Dyrektor skończył mówić i w Klubie Pickwicka zapanowało milczenie. Stary wychowawca gonił jeszcze myślą oddalające się wspomnienia. Chłopcy przeżywali w skupieniu losy Pazura. Pierwszy przerwał ciszę Pulpet.

- Tak - westchnął sentencjonalnie grubasek. -

Przed wojną były honorowe łobuzy, teraz już takich nie ma.

Wyrwany z zadumy dyrektor spojrział niechętnie na swego ulubieńca i najeżył wasiki.

128

- Czy jesteś aby pewny, Pulpet, że teraz już nie ma? A może poczekamy jeszcze trochę? Nie należy być pesymistą na zapas.

Dziadek miał rację. W dziesięć minut później dobiegł nas wrzask najdalej wysuniętych posterunków alarmowych.

- Dziadku, Bocian wraca! Bocian -wraca z ciastkami!

Zaledwie zdążyliśmy 'uformować szpaler powitalny, w drzwiach Klubu Pickwicka ukazał się spocony i promieniejący Bocian.

Cóż bym dał za to. Drodzy Czytelnicy, żebyście mogli osobiście ujrzeć dumę i zadowolenie, jakie były z twarzy nawróconego grzesznika. Jego fantastyczny czub sterczał jak proporzec zwycięstwa.

Bocian wspaniałym spojrzeniem zmiażdżył zawstydzonych kolegów i zwrócił się do dyrektora:

- Bardzo przepraszam, Dziadku, że tak długo trwało, ale musiałem po te ciastka ganiać aż do Otwocka.

Zapewne w taki sam dumny sposób usprawiedliwiał się przed królem hiszpańskim Krzysztof Kolumb z kilkudniowego opóźnienia w odkryciu Ameryki.

Później nastąpił punkt kulminacyjny. Bocian złożył na stole karcianym dwa gigantyczne pudła ciastek. W czasie tej podniosłej ceremonii nie ogłoszono żadnego przemówienia okolicznościowego, ale spojrzenia, jakimi Bocian obrzucił kolegów, mówiły więcej od wszystkich przemówień.

9 - Honorowy tobuz

129

„Nie wierzyliście, że wrócę! Zwątpiliście we mnie! Myśleliście, że łobuz nie ma swego honoru. Ha, nędzne ciaptakil Ha, smocze języki! Ha, plemię jaszczurcze!”

Dziadek przygarnął do siebie Bociana i tarmosząc przyjaźnie jego czub, mówił:

- Dobrze, że masz honor, kochaneczku, Z honorowych łośuzów prawie zawsze wyrastają dobrzy !udzie. Ale dbaj o ten honor, Bocianie! Dbaj, żeby go nie stracić!

Tu Dziadek zwrócił się do chłopców i przybrał minę nazywano przez wychowanków "kaznodziejską".

- Bo z honorem, kochaneczku, jest tak; Jak portki ci się przetrą, to pójdiesz na "ciuchy" i kupisz sobie inne. Ale honor jak ci się przetrze, nowego już sobie nie sprawisz. Nie, honoru nie odkupisz nigdzie.

Na tej głęboko słusznej uwadze cały incydent został wyczerpany i wszyscy obecni zwartym szykiem ruszyli do szturm na ciastka.

W NAŁĘCZOWIE

Lipcowe popołudnie roku tysiąc dziewięćsetnego. Najmodniejsze uzdrowisko polskie, Nałęczów, w pełni sezonu kuracyjnego. Rozgrzany letnim słońcem park zdrojowy roztacza przed spacerowiczami wszystkie swe uroki. Mimo upalnej pogody nie jest ani za gorąco, ani za duszno. Światło słoneczne przesącza się przez korony drzew jak przez witraże starych kościołów. Powietrze przesycą delikatna, srebrzysta mgiełka, która jak balsam koi zmęczone nerwy i nadaje przedziwną miękkość konturom krajobrazu. Cieniste aieje parkowe szumią ożywionym gwarem. Ku-

131

racjusze nałęczowscy, po odbyciu zabiegów leczniczych, zażywają przechadzki i nabierają apetytu do obiadu. Można tu spotkać bogatych ziemian z Litwy i Wołynia, brzuchatych fabrykantów z Łodzi, sławnych artystów warszawskich, piękne, wytworne panie, zamiatające ziemię powłóczystymi sukniami, oraz eleganckich frantów w kuszach kraciastych marynareczkach i wąziutkich spodenkach, skrojonych według najświeższej angielskiej mody. Od stawów parkowych niosą się wesołe śmiechy i plusk wiosel. Łódki wypełnione rozbawioną młodzieżą płoszą spokój dwóch majestatycznych łabędzi.

Dużym powodzeniem cieszy się położony nad stawem kiosk z "kumysem", czyli kobyliim mlekiem. W kiosku tym urzęduje otyły Tatarzyn krymski, który założył sobie w Nałęczowie osobliwego rodzaju "mleczarnię". Na ogrodzonym poletku za kioskiem pasie się dwadzieścia żrebných klaczy, którym przedsiębiorczy kupiec co rano podbiera całe mleko, aby następnie

sprzedawać je w postaci ciepłego, pianistego napoju leczniczego. Kumys ma wielu chętnych odbiorców, gdyż podobno leczy z anemii i świetnie wpływa na wzmocnienie systemu nerwowego. W porze południowej przy kumysarni gromadzą się przeważnie starsi panowie, lubiący sobie przed obiadem pogwarzyć o polityce. Nadeszły właśnie ostatnie pisma warszawskie i tematów do rozmów jest dosyć. Z Południowej Afryki donoszą, że angielski korpus ekspedycyjny dobija resztki bohaterskich Burów. W dalekich Chinach

132

znowu rozgorzała wojna. W kraju dobiegają końca przygotowania do uroczystego jubileuszu Henryka Sienkiewicza. Na rynku wydawniczym ukazała się nowa powieść młodego pisarza pana Stefana Żeromskiego, "Ludzie bezdomni", w której, jak twierdzą wtajemniczeni, można odnaleźć wiele szczegółów z życia uzdrowiska nałęczowskiego.

Wszystkie te nowiny z gazet ogromnie podniecają starszych panów zebranych przy kumysarni. Natomiast nie docierają one zupełnie do kilku młodych ludzi w wieku od ośmiu do -dziesięciu lat, którzy rozsiedli się nad stawem i z całkowitą obojętnością dla wielkich spraw tego świata moczą w wodzie swe bose nogi.

Z wyglądu młodych obywateli łatwo wywnioskować, że nie mają oni nic wspólnego ani z bogatym ziemiaństwem wołyńskim czy litewskim, ani z łódzkimi fabrykantami, ani z warszawskim światkiem artystycznym. Są to najpewniej chłopcy z czworaków

folwarcznych, a w najlepszym razie synowie niższych oficjalistów zakładu nałęczowskiego. Ich obecność w parku zdrojowym da się wytłumaczyć jedynie tym, że srogi dozorca parkowy pan Walery zajęty jest w tej chwili naprawą pompy zakładowej.

Widać od razu, że miejsce nad stawem jest dla chłopców czymś w rodzaju posterunku obserwacyjnego. Świadczą o tym częste spojrzenia rzucone w stro-

nę zachodniej bramy parku. Wiadomo, że za tą bramą mieści się sławny w całym Nałęczowie sklep pana Wójcikowskiego. Można tam nabyć wspaniałości, o jakich tylko dusza zamarzy, poczynając od kościanych obsadek z panoramą Lublina, a kończąc na znakomitych karmelkach, które pan Wójcikowski sprowadza aż z samej Warszawy.

W pewnej chwili, z ust najstarszego chłopca pada okrzyk:

- Idzie już, idzie!

Na to hasło cała gromadka podrywa się w mgnieniu oka i bijąc o ziemię bosymi piętami oraz siejąc popłoch wśród wystrojonych kuracjuszy, pędzi radosnym cwałem ku bramie.

Wygląd człowieka, który wchodzi właśnie przez zachodnią bramę do parku nałęczowskiego, niczym nie usprawiedliwia podniecenia chłopców. Jest to przeciętnie wygładający, starszy mężczyzna z małą, siwą bródką, ubrany na czarno i bardzo skromnie. Jedy- nym uderzającym szczegółem w jego powierzchowno- ści są ciemnoniebieskie okulary, szczelnie osłaniające

134

v
oczy. A prawda: jest jeszcze jedna drobnostka, to ona pewnie budzi zainteresowanie chłopców. Z kie- szeni czarnego surduta nieznanego wyzierają ja- kieś apetyczne paczuski.

. Chłopcy obskakują przybysza ze wszystkich stron i pozdrawiają go jeden przez drugiego:

- Dzień dobry, dziadziu!

- Czekamy już dawno!

- Ale dzisiaj to pan się spóźnił!

- Jak się macie, moje pacunelki - uśmiecha się starszy pan - widzę, że spieszo wam do specjałów mistrza Wójcikowskiego.

Chłopcy nie mówiąc nic, przestępują nogi na no- gę, lecz łakome spojrzenia, kierowane ku wypchanym kieszeniom czarnego surduta, świadczą wyraźnie o ich intencjach.

l w chwilę potem całe towarzystwo chrupie ze sma- kiem pyszne karmelki, sprowadzane przez sklep na- łęczowski "aż z samej Warszawy".

Ale po spałaszowaniu łakoci okazuje się, że przyjaźń między chłopcami a nieznanym opiera się nie tylko na cukierkach. Gromadka małych łakomczuchów, mimo zaspokojenia apetytów, nie zamierza bynajmniej rozstawać się z dziadkiem w ciemnych okularach. Zdecydowana jest dotrzymać mu towarzysztwa przez cały czas jego przechadzki po parku.

Otoczony światą umorusanych dzieciaków, starszy pan wchodzi w aleję parku, i oto jesteśmy świadkami

135

zaskakującego zjawiska. Należało się spodziewać, że ten stary, skromnie ubrany mężczyzna w ciemnych okularach zaginie niepostrzeżenie w świetnym tłumie kuracjuszy modnego uzdrowiska, że przejdzie spokojnie rojącą się od ludzi aleją bez zwrócenia na siebie czyjejkolwiek uwagi, schodząc grzecznie z drogi wystrojonym damom i wytwornym panom. Tymczasem dzieje się zupełnie inaczej.

Pojawienie się starszego pana w parku wywołuje ogólne poruszenie. W jednej chwili skupiają się na nim wszystkie spojrzenia, jego skromna osoba staje się od razu tematem wszystkich rozmów.

- Spójrz, to On - szarpie za rękę swą pociechę jakaś matka. - Przyjrzyj mu się dobrze, będziesz miała później o czym opowiadać wnukom. To przecież Oni

- To On - szepcze z przejęciem wytworna dama, przykładając do oczu złote lorgnon - mam wrażenie, że trochę się postarzał od ubiegłego sezonu. Czy pan profesor tak nie uważa?

- Nie ma czemu się dziwić, pani dyrektorowo do-brodzikó- wzdycha profesor. - Taka praca! Przecież mało kto w kraju pracuje tyle, co On, A lata biegną.

- Wypisz wymaluj: koncypient od adwokata - dziwi się otyła ziemianka prowadzona pod rękę przez eleganckiego studenta - nigdy bym nie przypuszczała, że On może tak wyglądać.

- Ba, spiritus flat ubi vult - popisuje się przed

136

matka łaciną elegancki student - duch objawia się tam, gdzie chce. Maman nie powinna się dziwić.

Człowieka w ciemnych okularach dostrzeżono także przy kumysarni.

- Powiedzcie no mi, moi dhodzy - dowiaduje się któryś z konsumentów kobyłego mleka - czy phawda jest, że jakiś tam zbogacony khawczyna tutejszy specjalnie dla Niego wybudował hezydencję letnig?

- Nie rezydencję, nie rezydencję, drogi hrabio - protestuje ktoś lepiej poinformowany. - Rzecz ma się tak, że krawiec Raciborski, obywatel Nałęczowa i właściciel willi "Pod Matką Boską", oddał Mu do wyłączonego użytku mały domek, żeby miał gdzie pracować w czasie lata. Wiadomo przecież, jak On zawsze popierał tych wszystkich krawców, szewców i inną cechową hołotę. Teraz krawcy mu się wywdzięczają. Nic innego, tylko wzajemna wymiana usług.

W tym czasie starszy pan w ciemnych okularach, będący przedmiotem tych wszystkich ożywionych uwag, zachowuje się tak, jakby w ogóle nie dostrzegł wywołanego przez siebie poruszenia.

Otoczony bandą uszczęśliwionych i dumnych pędraków - dobrotliwie uśmiechnięty - idzie sobie powoli główną aleją parku odpowiadając uprzejmie no ukłony i pozdrowienia, biegnące ku niemu ze wszystkich stron.

Teraz, patrząc na niego z bliska, stwierdzamy, że nasz pierwszy sąd o jego powierzchowności był przedczesny i niesłuszny. Wygląd starszego pana nie jest

137

wcale przeciętny. Z jego uśmiechniętej, okolonej siwym zarostem twarzy promieniuje mądra dobroć. Za ciemnoniebieskimi szklami okularów wyczuwa się błysk bystrych, wszystko widzących oczu. Ileż szczerzej radości życia i' życzliwości dla otoczenia ma w sobie dobrotliwy uśmiech tego starego, schorowanego człowieka. Wszystko, na co patrzy, raduje go i zachwyca.- Piękna pogoda letnia, świeża zieleń parku, wytworne stroje dam, wesołość rozbrykanych dzieci. Dla każdego z mijających go przechodniów ma życzliwe spojrzenie i dobre słowo. Teraz już rozumiemy, dlaczego garną się do niego młodzi i starzy.

Coraz bardziej interesuje nas ten tajemniczy niezajomy. Idziemy za nim krok w krok. Przyglądamy się pilnie jego licznym przyjaciołom i słuchamy rozmów, które z nimi prowadzi. Może z tych rozmów dowiemy się, jaki zawód uprawia posiadacz ciemnych okularów i jakim przyczynom zawdzięcza swoją niezwykłą popularność.

Właśnie podbiega ku niemu z oznakamizywej radości -w twarzy niski, barczysty jegomość o wydatnym nosie i dość rubasznym sposobie bycia. Starszy pan odwzajemnia serdecznie jego powitanie, tytułując go

"czcigodnym profesorem" i "mistrzem obojga matematyk". Widać od razu, że znają się dobrze i od dawna. W chwilę potem dwaj mężczyźni, ujawszy się pod ramię, pogrążają się w tak ożywionej rozmowie, że zapominają o całym świecie.

Rozmowa dotyczy zagadnień wyższej matematyki i

138

jest trudna do zrozumienia dla przeciętnego śmiertelnika. Nie staramy się też jej zrozumieć. Wystarczy nam, że już wiemy, kim jest człowiek w ciemnych okularach. Tylko wybitny matematyk potrafi z takim znawstwem rozprawiać o skomplikowanych problemach matematycznych. Starszy pan jest z pewnością uczonym matematykiem.

Ale nasza pewność już wkrótce ulega zachwianiu.

W chwilę po odejściu rozmownego profesora matematyki do starszego pana podchodzą dwaj ludzie o wyglądzie artystów. Znowu nawiązuje się ożywiona rozmowa. Tym razem na tematy literackie. Młodzi ludzie są literatami, gdyż mówią o swoich niedawno wydanych powieściach. Najdziwniejsze jednak jest to, że starszy pan wykazuje w sprawach literackich nie mniejszą znajomość rzeczy niż w zagadnieniach wyższej matematyki. Literaci s(uchają jego sądów z niezwykłym szacunkiem. Widać, że każde jego słowo ma dla nich wagę wyroku.

Nie, człowiek w ciemnych okularach nie jest chyba matematykiem. Musi to być raczej jakiś uczony historyk literatury albo poważny krytyk literacki, inaczej literaci nie rozmawialiby z nim w taki sposób.

Ale idźmy dalej. Starszego pana interesują nie tylko zagadnienia wyższej matematyki i sprawy literatury. Uwagę jego przyciąga każdy, najbliższy nawet szczegół, jaki napotyka na trasie swej przechadzki.

Oto zatrzymał się nagle i wsparty na lasce przygląda się w głębokim skupieniu młodej, eleganckiej

139

damie, która - zawstydzona nieco tą baczna obserwacją - mija go właśnie szeleszcząc strojną suknią z chińskiej krepy.

przydługim sukniom wytworzonych dam. Cała jego uwaga skupia się obecnie na innej kategorii znajomych - jak widać - najbliższych jego sercu. Na biednych ludziach

nałęczowskich.

Na małym placyku za zakładem kąpielowym kilku robotników rozładowuje wóz czarnej, tłustej borowiny, zwożonej tu dla celów leczniczych. Stary pan szybszym krokiem niż zazwyczaj podchodzi do wozu i wdaje się w ożywioną pogawędkę z najstarszym z robotników. Widać, że robotnik czuje się ogromnie zaszczycony tym, że pan w ciemnych okularach interesuje się stanem jego zdrowia. Byłoby ono zupełnie dobre, gdyby nie ten przeklęty "rymatyzm". Straszliwe łupanie w kościach nie daje spokoju nawet latem i zupełnie uniemożliwia robotę.

- Szewc, a chodzi bez butów - uśmiecha się starszy

Starszy pan uśmiecha się lekko. Z wewnętrznej kieszeni surduta wyciąga gruby, czarny notes i płaski, żółty ołówek w srebrnej oprawie. Poczyna szybko notować.

Pozwólmy sobie na drobną niedyskrecję i zajrzyjmy mu przez ramię do otwartego notesu. Mój Boże, czegoż nie ma w tym notesie! Skomplikowane figury geometryczne obok rysunków drzew i kwiatów. Jakieś urwane zdania bez początku i końca. Adresy dwóch najpoważniejszych redakcji warszawskich. Kilka łacińskich nazw botanicznych i krótki żartobliwy wierszyk. Teraz do całego tego galimatiasu starszy pan dopisuje uwagę: „Długie suknie naszych dam są w uzdrowisku elementem bardzo niepożądanym. Wzniecają tumany kurzu i zanieczyszczają powietrze”.

Błahość tej notatki jest wprost zaskakująca. Nie, poważny historyk literatury czy szanujący się krytyk literacki nie zajmowałby się podobnymi głupstwami. Wszechstronność zainteresowań starszego pana i charakter jego notatek zdradzają prawdziwy jego zawód. Nie będzie to nikt inny, jak tylko dziennikarz piszący do pism felietony i „obrazki z życia”.

A stary człowiek w ciemnych okularach nie czyni nic, aby nam dopomóc w tych naszych pracowitych domysłach. Teraz nie szuka już uczonych dyskusji z

matematykami i literatami ani nie przypatruje się

pan. - Cały kraj leczy swoje reumatyzmy w tej wazszej borowinie nałęczowskiej, a wy - którzy tej borowiny dostarczacie - kąpać się w niej nie chcecie. Słyszaneż to rzeczy!

- Wielmożny panie, kąpiele z borowinki nie dia naszego brata - odpowiada robotnik. - Bogaty leczyć się może, ale nasz brat skąd weźmie pieniędzy na takie wymysły?

- To prawda - mówi już bez uśmiechu człowiek w ciemnych okularach. - To święta prawda, ale trzeba jakoś temu zaradzić. Wy leczyć się musicie.

Jeszcze raz wyjmuje swój czarny notes i ołówek w srebrnej oprawie. Do poprzedniego materiału zostaje dodana nowa notatka: "Muszą powstać w Nałęczowie tanie kąpiele dla ludu. Trzeba zaproponować stworzenie na ten cel specjalnego funduszu społecznego".

W chwilę potem widzimy starszego pana, otoczonego dziećmi, w jednej z bocznych alejek parku. Zagaduje starą Żydówkę owocarkę, uginającą się pod brzemieniem ciężkiego kosza jabłek.

Znowu sięga ręką do kieszeni, ale tym razem wyjmuje z niej nie notes i ołówek, lecz chudą, wytartą portmonetkę. Po krótkiej rozmowie cała skromna zawartość portmonetki przechodzi do rąk owocarki. Stary pan sam wprawdzie owoców nie jada, ale dzieci nałęczowskie ogromnie lubią jabłka, a biednej kobiecie trzeba jakoś ulżyć w jej ciężarze.

Kimże jest ten niezwykle nieznamy? Matematy-

142

kiem czy literatem, dziennikarzem czy społecznikiem?

Jedno wiemy z całą pewnością: jest mądrym, dobrym człowiekiem, życzliwym przyjacielem ludzi i świata.

O pierwszej godzinie - gdy z zakładu i wszystkich will zakładowych poczynają rozbrzmiewać dzwonki i gongi zapraszające do obiadu - stary pan w ciemnych okularach kończy swą prze-

chadzkę do parku. Gromadka
dzieci towarzyszy mu także
drodze do domu.

Piękną starą aleją lipową do-
chodzą aż do furtki ogrodu ota-
czającego posiadłość krawca
Raciborskiego. Przy furtce na-
stępuje serdeczne pożegnanie.
Chłopcy dostają po jeszcze
jednym cukierku, a stary pan
odchodzi w kierunku małego
domku, położonego w głębi
ogrodu.

Ale dla chłopców sprawa nie
jest bynajmniej skończona. Po
schrupaniu cukierków i odcze-
kaniu kilku minut podkradają

143

się chyłkiem do oszklonej werandki domku, w którym
znikną? ich towarzysz.

Teraz dzieje się coś dziwnego. Najsilniejsi chłopcy
podsadzają do góry najmniejszego z gromadki tak,
aby mógł swobodnie zajrzeć do wnętrza werandy.

- No - szepczą ciekawi ci z dołu - gadaj, co
widzisz!

- Poczekajcie -. odszeptuje z góry z ogromnym
przejęciem mały obserwator- zaraz się zacznie. Już
zmienił okulary i przedziat się w szlafrok.

- 'A maszyna jest? - niecierpliwia się podtrzymu-
jący - gadaj, czy jest maszyna?

- Juści, że jest! O, o, teraz wsadza do niej pa-
pier! O, już! Chłopaki, zaraz się zacznie!

Jeszcze przez chwilę trwa napięta cisza, l naraz
zza oszklonej ścianki zaczynają dobiegać jakieś me-
taliczne, zgrzytliwe hałasy.

Chłopców ogarnia niesłychane podniecenie. Mały '
obserwator zostaje gwałtownieopuszczony na ziemię.
Starsi chłopcy podskakują, na ile tylko ich stać, sta-
rają się sami zajrzeć do wnętrza werandy. Młodszy do-
magają się płaczkliwie, aby ich podsadzono. Powstaje
wskutek tego nieopisany harmider. Chłopcom nie
można się dziwić. Zgrzyty dobiegające z werandy są
dźwiękiem nowego oszałamiającego wynalazku ludz-
kiego geniusza - maszyny do pisania. Pierwszej w

ogóle maszyny do pisania, jaka zawędrowała do Na-
lęczowa.

Ale spokój starszego pana z małego domku jest

144

pilnie strzeżony. Wrzawa czyniona przez chłopców wy-
wabia do ogrodu właściciela willi "Pod Matką Bo-
ską" - pana Raciborskiego.

Brodاتا i naznaczona dziobami po ospie twarz mi-
strza krawieckiego płonie świętym oburzeniem. Jego
huczący głos spada na głowy chłopców jak karzący

grom.

- Wyoście mi się w tej chwili, łobuzy! Jak śmie-
cie tak hałasować?! Czy nie słyszycie, że pan Prus

pisze?!

Dopiero na to gromkie wezwanie mali przyjaciele
wielkiego pisarza pierzchają z ogrodu jak stadko
spłoszonych wróbli. . .-s-^s.